



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnictwem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 6.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, płatki i drobne od 1 do 3 po południu.
Rękopisy osobne nie zwracają się.*

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Dymiący wulkan. — O Gallei p. T. T. Jeta. — Tydzień polityczny. — Z dziennika pesymisty p. Brołsa. — *Badania naukowe:* Ustrój społeczny u ludów pierwotnych III. p. Lud. Krz. — *Psychologia zwierząt* II. p. J. K. Potockiego. — *Prawoznawstwo:* Dr. Ostrożyński Wł. Prawo wyższej konieczności p. B. — *Wynalazki* II. p. W. N. — *Literatura i sztuka:* Plon konkursowy I. — *Fajleton* Liberum veto p. Posła Prawdy. — *Na widnokręgu* p. Nieborskiego. — *Kronika bieżąca.* — *Odpowiedzi redakcyi.* — *Ogłoszenia.*

Administracja „Prawdy” mieści się przy ulicy Złotej, nr 23 nowy (9-A. dawny).

POLITYKA.

DIYMIĄCY WULKAN.

Lipiec rozpoczyna zwykle „porę martwą”, w której posłowie sejmowi wracają do domów, ministrowie i monarchowie wyjeżdżają do wód, w której warsztaty polityczne zawiązają lub zmniejszają znaność swą robotą. Ale chociażby owa pora była jak najbardziej martwa, lato skwarne, znajdziemy się zawsze jakiś straszak, który co kilka dni lub tygodni spędzi rubla na dół. Nie ma bowiem nigdy takiej ciszy, w której by nie dmuchały na niego szkodliwe wiatry. I teraz więc, mimo spokoju i bezczynności, opadł on w kursie giełdowym i opadnie jeszcze nieraz. Według zapewnień prasy przysługuje wyświadczyć mu *Journ. de St. Petersburg*. Książę bułgarski zwołał — jak wiadomo — „sebranie” z obu połów swego państwa i powiedział przedstawicielom narodu mową z pozoru niewinną i lojalną, w gruncie jednak zawierającą twarde kamyczek obrazy. Mianowicie wspominał on, że „tyle pożądana unia stała się faktem dokonanym.” Sięśle a raczej prawnie biorąc, unia ta, zapewniająca księcin Bułgarii zarząd Rumelią na lat pięć, faktem dokonany jest jeszcze nie jest, jest nim wszakże mocą tej siły powodzeń i stosunków, która ją spełniła. Bułgaria przedstawia dotąd kościół wykończony w budowie, posiadający już ołtarze i przybory, ale niepoświęcony przez dyplomację, która gniewa się lub kłątwa

grozi nieposłuszanemu księdzu, co śmie w takim przybytku odprawiać nabożeństwo i głosić kazania dla hierarchii nieprzyjemne. Gdyby półwysp Bałkański nie był ową Tokajową górą, na której każdy dwór ma swoją winnicę, gdyby tam nie krzątały się najrozmaitsze interesy, rachuby i zawiści, doś byłoby zdaleka pogrozić małemu władcy, ażeby go ukorzył. Na nieszczoście a jego szczęście ma on nad sobą wielu panów i opiekunów, którzy, złożeni słubami wiecznej zgody, ełhennie podstawiają sobie nogę — Bismark Freyrintowi a Gladstone Kalnokemu, lub odwrotnie. Wobec tak przykładnej zgody zarzucenie dyplomatycznego lassa na krnąbrną książkę jest niezmiernie trudne, gdy trzeba, ażeby to lasso trzymały wszyscy interesowani i ażeby ono przeleciało nad głową sultana, który znowu strasze swego majestatu. Odbiciem tego kłopotu był właśnie artykuł *Journ. de St. Petersburg*, który wskazywał na pogwałcenie międzynarodowej umowy przez ks. Aleksandra, ostrzegł Portę przed możliwością „poważnych następstw.” Bo dodać należy, iż ze wszystkich patronów Bułgarii najpobliższym okiem na jej wyzwalanie się patrzy najbardziej straszny sultan. Wyrośla nawet w prasie pogołoska, że on tajemnie sprzyja buntowi swego wasala. Ponieważ „sebranie” odpowiedziało ewemu monarchse adresem, w którym również zaznaczyło „dokonany fakt unii,” powód więc do nagany dyplomatycznej istnieje. Tytochmiast obliczali świat telegramy o „czarnej obmurze na politycznym widnokręgu,” o grożdzeniu wojsk, o bliskiej kampanii, ale, jak dotąd, tylko biedny rubel zapłacił koszty, tego alarmu dotkliwą znikną swego kursu. Za walką na papierowe noty nie idzie burza wojenna, a „groźna obmura” zaczyna się rozpywać.

Ostatecznie dyplomacya musi coś z tym fantem bułgarskim zrobić: albo go upra-

wnić milcząc, albo też przynieść potęgą wolą natychmiast. Jeżeli ks. Aleksander nie będzie zaraz odzywczony od zwotywanu sejmu „fjdnoczonej Bułgarii” i od głoszenia unii za „fakt dokonany,” powtórzy to samo później i niezadowolonym odbierze rację zbrojnego wystąpienia. Trudno bowiem będzie go kłótnia i petas za rok lub dwa, gdy już swą „samowolę” wdroy w życie narodu. Dziś można mu jeszcze przypominać traktaty, ale nie wtedy, kiedy go praktyka uniawia i zatrze w pamięci ludzkiej. Ze taki pogląd przeważa w niektórych gabinetach, wątpliwości nie ulega, ale że on spotyka mocne przeszkody — to jest również widocznem. Niezmiernie ciekawą i charakterystyczną jest ta namięta, a prawie niema gra, jaką prowadzi monarchwa o półwysp Bałkański. Nie ma ona wybuchów gwałtownych, ale składa się z tysiączek tajemnych szachów, drobnych postępów i cichych półsłów, które prasa europejska nauczyła się już wybornie odcyfrowywać i całemu światu tomaczyć. Gdy ks. Aleksander wypowiedział swą mowę, jedna z gazet doniosła, że został wykluczony z armii pruskiej. Jak tylko pogołoska ta zrobiła dostateczne wrażenie, zaczęto jej zaprzeczać, delikatnie, krótko, ale tak umiejętnie i na właściwych miejscach, że wkrótce znikła, zostawiając po sobie ślad — sympatii pruskiej dla potępnego — ślad, który musiał rozdrążyć stronę mu przeciwną.

W tej chwili panuje szeroko przez dzienniki wyznawane przekonanie, że stosunki niemiecko-rosyjskie ozgibły. Być może, że jest ono trafnem, w każdym razie w długą trwałość takich przekonań, a raczej takich osobliwości wierzyć nie należy. Ks. Bismark jest politykiem „realnym,” tj. niezależnym od żadnych uzod, niemającym uprzedzeń i podającym rękę każdej innej, która jest pełna. Wiadomo zaś oddawna, że ile razy chce od jakiegoś państwa coś

wytargować i ściślej się z nim związać, daje mu naprzód poznać swą siłę w wypadkach bieżących i udaje gniew. Według wazelskiego tedy prawdopodobieństwa, jeśli dąs się na Rosję, mać do niej jakiś interes. Bądź co bądź, na tych dąsach nie należy opierać żadnych przypuszczeń ośmieszających. Kwestyja wschodniej i przedkrojonej jej załatwienia. Powtarzamy to oddawna i dziś, że ona rozwiązać się musi, ale rozwiązać się mimo a może nawet wbrew woli dyplomatów, siłą biega rzeczy, po części przez nikogo nieprzewidywanych i nieobrachowanych. Na tej drodze wyrósłła Bośnia z Hercegowiną, na tej drodze zjednoczyła się Bułgaria, po niej również przyjdą wypadki, które będą ostatniem słowem w tym wielokrotnym sporze polityczno-narodowościowym. Kiedy? Tego nikt nie wie — nikt. Wulkan ciągle dymi się, ale kiedy wybuchnie i wyrzuci lawę przesłanie — mądrość ludzka nie obliczy. Przepowie katastrofę — na 24 godz. Nie starczy ludziom czasu na nieoczek, ale starczy na rozprawę. Takim dymiącem wulkanem jest półwysep Bałkański, a chociaż otoczony obserwatoriami, myli ciągle wszystkie ich wyrachowania.

O GALICYI.

Z konieczności rzeczy pisanie moje nie może przybrać nudy charakteru polemizacji. Do polemiki wyzwał mnie sz. kolega lw. Franko artykułem: „Jeszcze o rozrachunkach galicyjskich“, drukowanym w nr. 23 *Przeglądu*. Nie o rozrachunki atoli rzecz idzie, ale o położenie, o stanowisko Galicyi w ramach konstytucyjnych monarchii austriackiej. Nie posiadam pod ręką dokumentów urzędowych dla wykazania, że konstytucya galicyjska na piasku stoi, że zależna jest od dobrej woli, od łaski monarcharzej. Fakt ten podałem z pamięci, wedle tych wrażeń, jakie sprawiła na mnie stopniowo, poczynając od r. 1849, kształtowanie

się konstytucjonalizmu w Austrii i na poparcie wrażeń moich nie mam nic innego, jak fakty historyczne. Te ostatnie w zarysach ogólnych przedstawiają się tak: do r. 1850 rządy konstytucyjne, do r. 1860 samowładne, od r. 1861 konstytucya rodzaju jednego, po r. 1867 — rodzaju innego. Raz posuwanie się naprzód, znów cofanie się, wstrząsanie rozwój. Wszelkimi tym zmianami kierunków i frontu przewodniczyły państwa — a nietylko przewodniczyły, ale były ich inicjatorami. Wola jego, zwana urzędowo „łaską“, przejawiała się w pełni całej. „W niezłomnem postanowieniu zachowania nam płomyk blasku korony, lecz w pogodowej dzielenia praw naszych z przedstawicielami naszych ludów, spodziewamy się“ itd. — brzmiała proklamacya Franciszka Józefa, zaznaczająca wstąpienie jego na tron. W rok później dzielenie praw usunięte zostało i przez lat dziesięć mówimy o tem nie było. Powrót do konstytucjonalizmu zrazu bardziej, następnie mniej poważnego wprowadzają kłęk, tak, iżby powiedzić można, że konstytucyja Austrii nadali najprzód (1859) francuzi, potem (1866) prusacy. Lecz ani francuzi, ani prusacy nie ograniczali praw monarchy, tylko się praw swoich nie żrekał nie żrekał. Jaki z nich użytek zrobił w roku 1850, gdy rządy republikańskie zniósł, taki użytek zrobić by mógł dziś, jutro, kiedy by się mu podobało. Konstytucya austriacka nie jest, jak angielska, lub belgijska, obowiązująca obie strony — rządzącą i rządzoną. Obowiązują jeno te ostatni; monarche zaś tak długo i w takiej mierze, jak on to za stosowne uzna. Gdyby, bądź Franciszek Józef sam, bądź następca jego uznał za stosowne izby reprezentacyjne zastąpić „beiratham“, lub bez zwolnienia ich się obywać: czy jest jakie prawo, któreby mu na to nie pozwoliło? Jedynę we względzie tym prawo — wyraża się pod postacią nauk o okoliczności. Okoliczności wytworzyły potrzebę podzielenia się prawami z przedstawicielami ludów i próby dzielenia się tego sprowadziły ustrój federacyjny-autonomiczny, do korzystania z którego przypuszczenia została i Galicya.

Czy przypuszczenia została dlatego, że przypuszczenia być musiała, czyli też dlatego, że taką była dobra monarcha? Sama ogólna natura konstytucyi austriackiej musi usłuska. Jak cesarz mógł jej nie nadać całej monarchii, tak mógłby z niej kraj

ten lub ów wyłączyć. Do tego wszakże potrzeba racyi, których nie ma w odniesieniu do Czech, Morawy, Austrii wyższej i dolnej, Karyntyi, Karniol, itd. — krajów koronnych, wkluczonych w skład państwa całkowitego i bezwarunkowo. Dla monarchar, pozostających z Austrią w stosunkach, rzecz to obojętna, jak się te kraje administrują, jak rządzi, sądzi, w jakich barwach chodzą, jakim językiem mówią. Co do Galicyi, są monarchar, z którymi stosunki miały dla Austrii znaczenie wielkie, dla których nie jest to rzeczą obojętną. Za dowód w mierze tej służę może prasa pruska, interesująca się autonomią Galicyi w sposób szczególny. Czy nie uderzyła prasa pruska na twórcę z powodu wybierania się w roku przeszłym galicyan do Wiedebru? Ta troskliwa o prasy świadczy dowodem zarówno o odrębności położenia Galicyi w składzie monarchii austriackiej, jakoteż o odrębności „łaski“, co ją do udziału w życiu konstytucyjnym przypuszciała. Łaska dla innych krajów koronnych ogólna i tem samem pewniejsza, dla niej się wyśzczególnia tymi warunkami, jakie w r. 1860 obejmować należało i po r. 1867 uwzględnić potrzeba. Za autonomię galicyjską wziął cesarz na siebie osobistą niejako wobec polityki zagranicznej odpowiedzialność, o której mowy być nie może co do autonomii krajów innych. Innem też być musi zobowiązanie się konstytucyjnej monarchy — w odniesieniu do tych ostatnich, aniżeli w odniesieniu do Galicyi i innem konstytucyjnej kraju tego traktowanie. Wytlumaczyłem tedy, zdaje się, jasno przywrócenie podstaw konstytucyjnych w Galicyi do gruntu piaskowego.

Ze na gruncie takim budować trudno, tego dowodził szeroko nie potrzeba. W tej chłapinie konstytucyjnej szlachta, której się gospodarzenia dostało, gospodarzy nie jak we własnej. Funkcyja jej jest burgrabska, zależna od sprawowania się. Pozostaje pod dozorem, do którego stosować się musi, i w razie bowiem przeciwnym dostanie nogą gdzieś i pójdzie w dymisie bez pensyi i munduru! Wolno jej to jeno, co odpowiada widokom łaskawości i to też tylko uzyskuje sankcyę odpowiednią, polityczną i ustawodawczą. Wykażę to przykładami.

W r. 1848 znajdowałem się w Galicyi; nie byłam członkiem ani rady, ani gwardyi narodowej i szeroko otwartemi a ciekawo-

Z DZIENNIKA PESYMISTY.

I.

Walka o byt.

Imięno znowu dni kilka, wody wezbrały poczęły opadać. Wówczas No wypuścił z arki gołębia i kraka, by zwiadyli ziemię i wieść o jej stanie przynieśli.

Znalezli ptaki wzbili się w powietrze, gołąb zawołał:

— Spójrz bracie, jakie okropne spustoszenie! Ie musiała wycierpieć biedna ziemia. Patrz, równiny dotychczas pokryte wodą, obciążone mulem i ofarami kary bóż, ile śmierci, ile zgrozy! Na pagórkach, wystających z fal, zgięta, polamane drzewa... okropne parowy potokami wyrzyle. Tam dalej pewnie miasto było a teraz gruz i śmierd! Strach zdaje... Leżymy napórnó do arki, opowiademy wszystko, a będziemy wszyscy modlili się i dziękowali za nasze zbawienie.

— Cicho! cicho! — zawołał krak. Nie straszego nie jest stało. Kilka parowów — tem lepiej — urozmaica powierzchnię ziemi. Woda w dolinach utworzy jeziora, zabaczysz, je gęzcie ładniej będzie. Miast tro-

chę szkoda, bo żeru dostarczą, ale znowu powstana. A trupy! Toż boża wola działka. Żalując potopionych, bliźniach przed obliczem Boga. Co nam do skaranych przestępów — myśmy przeciw żywi i zdrowi! Spiesz się zaś do arki! — po co! Zresztą leć, jeśli chcesz, ja zostanę; przyjemnie popatrzyć na ziemię, nim znowu porośnie trawą i krzewami. Dla mnie ta wielka ruina ma czarowny urok...

— Na wzgórkach ogrzany promieniami słońca — mówił gołąb — oliwne drzewko ożywa. Ie zielonych listków rozkwitło. Uszaknijmy po głązkie zianiesmy do arki. Niech cieszy się No z rodziną, niech cieszą się wszyscy — przedzieli. sprawny im radość.

— Cha, cha, cha! — zakrzękał krak — idealista z ciebie, marzydzieli. Świejące to radość, No, uciekaj sprawi, a na nią ciebie usmaży i polknie. Leć, ja sobie też poszukam, to będzie praktycznie. Poszła dobra, ale nie na czoło. Zresztą, co kto lubi: ja widzę coś smacznego na pochyłości góry... O, bo ja także znam się trochę na poezi.

Westchnął gołąb i pofurkał ku drzewu, a krak spuścił się na dół.

Na pagórkach, u podnóża drzewa, biegł strumyk czysty; musnął gołąb skrzydłami po wodzie, strzepnął się, wyglądał dziobkiem pioraka; potem gruchnął radośnie, uszaknął głązka oliwną i wrócił.

Kruk już podniósł się z doliny i latał niecierpliwie: piora miał zbłącone, a dziób i szpony krwią obryzane.

— Cha, cha! — zawołał, widząc gołębia. Toś się wygłodził! Doczekasz się rozżal...

— Bracie — odrzecz gołąb — czyż możemy nieść taką radość nowinę i nieustraszyć się świętości. Otrządy dziób i szpony; po co przynosić razem z głązką życia pamięć krwi i nieśczęść ziemi?

— Uspokój się, idealisto! Człowiek bardzo lubi zapach krwi, niż wóń twardych głązek... Znam nieco ludzi! Chyba żeby zardrości nie budził. No, to znowu, głodny liryku, umyję się. A wiesz, podczas twego marzenia nad głązkami urządź sobie uciek. Na stok góry znalazłem matkę z dziećmi. Kobieta miała rękę wyciągniętą, zeszytywało — nad głową, trzymała dziecię, widocznie, nawet ginać, wysłała nie o sobie, lecz o niem. Czy nie bohaterka?... Jakież to oczy u tego dziecka! Lecz co tam oczy, odszukaj serce tej dobrej kobiety — wmyslenie: miękkie, delikatne, duże... uciek miślem nie lada!

Mówię to, kruk przybliżył się do wody i płuśnął niedbalą skrzydłami kilkakrotnie. W tej chwili potwór morski, słysząc ruch na powierzchni wody, ciekawie wynurzył głowę, ujrzał swą żywe stworzenie, otworzył szeroko paszczę i począł skradąć się żarłocznie.

mi oczami przypatrywałem się wszystkiemu, co się działo. Uderzył mnie mianowicie dwa fakty, z których o jednym sz. I. Frank wspomina w *Prawdzie* (nr 23), o drugim w *Kraju* (nr 22). Zaczęło od tego ostatniego.

"Romantyczny patryotyzm" (nie rozumieć, co to znaczy) orzekł darowanie pańszczyzny i uwłaszczenie ludu bez wynagrodzenia. Orzeczenie podobne nie mogło się dokonać jednomyślnie, dokonano się jednak większością tak przeważną, że naskiem takim, że się wobec niego rząd centralny ucieś musiał do postępu i "antydota" dekret. Fakt ten, w którym pod względem ekonomicznym i politycznym dopatrzyć się dać strony słabe, świadczy o intencji dobrej, przesławia zaś o niestwierdzeniu, zaznaczonej przez L. F., w dzie Borwińskiego i Pola, w sercach "polaków galicyjskich *nienawisć* do ludu, do tych rziznów, hajdamaków." Istniało rozalenie, istniała pretensja — nie do ludu jednak. Rząd r. 1846 doskonale rozumiał, że w Galicyi i po za Galicyą we wszystkich warstwach społeczeństwa salachockiego — *Lettre d'un gentilhomme polonais* (Wielopolski). Uwolnienie i uwłaszczenie ludu na seryo wziął nie jeden tylko Sangusko: oglądając fakt dopełniony w Złoczowie przez szlachciców drobnych, przez dzierżawców nawet, co gruntów darowywać nie mogą, pańszczyzny się szkrekał. Autonomia istotna mogłaby może z faktu tego wysnuć następstwa nie takie, na jakie obecnie Galicya choruje. Sankcjonowanie faktu jednak nastąpiło *antydota* w. Kto w Galicyi gospodarze?

Fakt drugi. Ow. "patryotyzm romantyczny", którego znaczenia nie rozumiem, z Tarnopola, ze Lwowa, zewsząd powypędy był jezuitów. Wypędzenie odbywało się nieprzychylnie; przy akompaniamencie różnych wybrków manifestacyjnych, brako mu powagi; za to z powagą osąd, jossici ci zostali napowrót wprowadzeni i zainstalowani. Uprawomocnił to konkordat, do którego żaden z "polaków galicyjskich" ręki nie przyłożył. Fakt, przez nich dokonany, fakt, na którym by i polacy i rusini wyszły mgliście najgorzej, sankcji nie uzyskał. No?...

Jak z pańszczyzną, jak z jezuitami, tak ze wszystkim. Spraw niekiedy na drodze ustawodawczej wprowadzać nawet nie można, na przykład: sprawy kalendarzowej

i alfabetycznej, których rozstrzygnięcie stosownie do życzeń polskich przyniosłoby nie małe korzyści ekonomiczne i przyczyniło się znacznie do wprowadzenia harmonii pomiędzy dwa szacze, złazone wspólnością interesów, wspólnością granic i wspólnością państwa. Ale — niechęć się uchylać takie szromotne, głupie i szkodliwe prawo, jak rozdział gminy na dworską i włosiński, niechęć uchylać ustawę taką, jak ustawa drogowa, lub taką, jak propinasyjna, a sankcja na siebie czekać nie każe. Wolno mu obracać się w kółku pewnem, lecz po za te kółko wyjść nie wolno, chociażby miał ochotę, któryś mied nie może, dzięki nie przez "polaków galicyjskich" ułożonemu prawu wyborczemu, ułożonemu tak dowiecnie, że fabrykuje większość gotową dziś powzięte postanowienie cofać nazajutrz, a powoda wskazówki, nadesłanej z Wiednia drogą telegraficzną. Konstytucjonalizm galicyjski nie na to jest chorobę, że się opiera na podstawie kapitalistycznej, tkwiącej w gruncie ustroju społecznego wszystkich narodów europejskich, ale na to jeszcze, że stoi na piasku, że jest jutra niepewny, że bez "zamachu stanu" uciśnięty być może, że reprezentację się kuryalnie za pomocą wyborów kierowanych i dorozowanych przez starostów — urzędników państwowych. Ujęty w klamry takie iść jeno może za wskazówkami z góry i za grzechy swoje wołać do niebios: "Panie, karz rękę, nie ślepy miecz!"

Gdyby nie to, Galicya mogłaby do Wiednia na przedstawicieli swoich dobierać ludzi innych i poczynić sobie śmieje. Możeby ci sami nawet mieli odmówić więcej, zwłaszcza gdyby kraj, przez nich reprezentowany, nie był, w porównaniu z innymi, we względzie liczebności upodlegzony. Inne kraje koronne wysyłały jednego przedstawiciela na 60,000 wyborców, Galicya wysyła jednego na 90,000. Nie, świadczy to o stopie równości w obliczu konstytucyj, która z drugiej znowu strony, w odniesieniu do działań sejmów krajowych, zapewnia rządowi dowolność nie tylko doborowania go, jak mu się podoba, ale także ograniczenia trwania sesyj. Zaledwie się wybrańcy narodu na obrady zgromadzi, alsiś rozchodzą się muszą. Sprawy najważniejsze załatwiają się z pospiechem gwałtownym, tak, że zwolniana owe sejm wygląda na śart — na rodzaj komedii reprezentacyjnej, mającej na celu nie

zaspakajanie potrzeb krajowych, ale zaspakajanie opinii publicznej i wyświadczenie mężów stanu. Przez przątek sejmów galicyjskich przeszli się Śmolka, Ziemiakowski, Dunajewski, Gołuchowski, Potocki i sporo innych ekscelencyj, pomiędzy którymi Gołuchowski przedstawia objaw ciekawy i charakterystyczny. Namjestnikował on dwoje nawrotności: za pierwszym razem był to centralista przekonany i tępiciel polonizmu zawzięty, za drugim razem wystąpił jako federalista przekonany i romantyk patryotyczny prawie gorący. Temperatura jego patryotyzmu w jesieni roku 1866 dochodziła stopnia temperatury redaktora ówczesnego *Gazety narodowej*, następnie zniżyła się nieco, utrzymywała się jednak zawsze wyżej zera i upamiętniła się ubraniem patryotyzmu polskiego w kolarze złotom szyte, jako też jedną przysługą rzeczywistą: wydobyciem i na właściwy użytek obróceniem pozabieranych na różne inne cele funduszy stypendyalnych szkolnych. Zresztą, z wyjątkiem korzyści tej, ze wszystkich niekorzystnych wyników wysiewków sejmowych lwowskich Galicyi w zysku nie okroiło się nie i okroić się na drodze, jaką prowadzona była, nie mogło. Z załatowanego powyżej antydota dekretu wyrodziło się musiał prawo rozdziału gmin, z rozdziału gmin — wzajemne szlachty i chłopów podejrzewanie się o złe zamiary. Z załatowanego również powyżej sprowadzenia wygnanych przez romantyków jezuitów wysnuć się musiało obniżenie pojęć przewodnich i pokrzywienie linii głównych. Nastąpiło z wysuniętego o tyle o ile napród posterunka postępowego cofanie się na żeb na syję, połączone z wyrzucaniem kioziółków i padaniem na nosy, dokonywaniem *de propos delibéré*, w imię oportunistu, wstępującego pod postacią trzymająca się kłamiś wiedeńskiej i nasłuchiwanie, co tam za dwiarami szłości. Szlezyły za dwiarami owemi, wyszrobowane do znaczenia tajemnic stanu, wytworzył dyplomacy chorobliwą, ogładającą się we wszystkim i ze wszystkim na Wiedniu i nie mającą dla siebie ujścia innego, jak na drodze kariery osobistej. Być po głowie pogłaskany; usłyszał komplement — *schön aber dumm*: — oto jak najnowszey doby galicyanin przeciętny szkuje sobie cel pragnień osobistych i dążeń

— Strzeż się! — zawołał gołąb przerażony.

Kruk spojrział, zakrakalałszyby wzniósł się w powietrze.

Z przestrachem a śpiesznie wrzucił gołąb do arki; kruk dążył za nim w ponurem milczeniu. Nakoniec u celu podróży szepnął:

— O mało nie zginąłem; prawda, świat był ustem niewiele stracił, jednak jestem ci wdzięcznym za przestróg, a w razie niebezpieczeństwa licz na mnie.

W aro, gdy ujrano gałązkę, powstała wielka radość. Nio szbudował otłara, na nim ułożył wiązkę drew, na stosie najlep-szego baranka i drwa podpalil.

Kruk szepnął gołębiami:

— Widzisz, ocom człowiek wyraża radość — krwija; a te głupie jagnię milczy, żeby przynajmniej beczalo! Niechby człowiek swoje dzieci palił — nie! nas gnębi i wszędzie nas; mówilem ci, nie nies gałązki

— Nie złożysz — gruchał gołąb — bo człowiek mógłby samzżyciować baranka, tymczasem odmawia sobie, żeby zrobić z niego dziekociżną ofiarę.

— Odmawia! — wrzasnął kruk — na ofiarę zabija jednego, a sobie drugiego i wszędzie krew i krew... a ty jaczas mówisz: omij się z krwi. Tak, ludzie lubią jej zapach.

— Żarłoku — niecierpliwił się gołąb — tybys pewno nie złożył ofiary, bo nawet

nasycony siedziałby jak sęp i pilnował tego hupu, czekając głodu.

— Głupstwa prawisz marzycielu! Patrz: pagórki i doliny napelnione trupami; ile ich mógłbym na ofiarę spalić, a nie czynię tego. Nie czynię, bom nie człowiek, bo rozumieć, że ofiara z cudzego ciała i krwi jest krutym żartem.

Ucieki gołąb pełen grozy — trapiła go żłosiwość czarnego ptaka.

* * *

Mineło trzy lata po potopie. Ziemia zapomniała o nieszczęśliwej i ubarwiła się zielonością. Ptaki i zwierzęta znowu zasiedliły ją.

Noe wyprawiał wielką urozę. Po biesiadzie mało a żwawe pachole wybiegłoz domu, ujrzał gołąbka.

— Ja go zabiję i będę miał na jutro pieczyste — pomyślał; wzięło kamień i zaczął się czaść.

W tej chwili zjawił się w powietrzu kruk i tkwiąc w górę, krakał:

— Idealist! chłopak na ciebie ozyha — strzeż się!

— Jestem spokojny — odruchnął gołąb — dziećci bawi się. Ono sęty, po co ma zabijać.

— Mówię ci — uciekaj! Potwór, od którego mnie ostrzegłeś, ozyha tylko głodny;

ten zaś potwór zawsze głodny, zawsze żarłoczny?

— Zawsze żłosiłwy jesteś! — odparł gołąb... a w tej chwili kamień, rzucony żwawą ręką, uderzył go po głowie.

Upadła ptaszyna i ducha wyzionęła. Chłopiec porwał gołąbka i uciśszony pobiegł do domu.

Tymczasem kruk, kracząc przeraźliwie, krążył tuż nad jego głową. Chłopiec wciąż uderzył go. Ptak upadł.

Uradowany malec rzuca wciąż i spieszy schwytać drapkę zdobycę, która jeszcze żyje... trzepocze się, targa i umyka; on goní. O tej nuchyla się, już ma porwać, kruk dobywa się i ucieka. Roznamiętniony chłopiec zapomnił o wszystkim, pędzi, nie bacząc, że dopadł zarośli nad urwiskiem. Już dotyka ptaka małą rączką, już go chwytą; ale w tej chwili spada w przepaść. Kruk ironicznie a zwycięsko zakrakął i wzniósł się w górę. Potem spuścił się na dół, usiadł na piersi chłopca, chwiejąc czeka ostatniego drgnięcia i zaczyna wyrwać mu oczy z osła. Nasywciwszy zemstę i żarłoczność, zwrócił się do gołąbka, który leżał tuż na ziemi.

— Tak! — zakrakął — nie wierzyłeś mi, naiwny biedaku! Nawet w twojem martwym spojrzeniu, ile łagodności i dobroci! Pomściłem twą śmierć z narazaniem własnego życia. Się przyjacielu! Teraz już ci oczy niepotrzebne!..

patryotycznych. A nie jest on ani rusinem, ani polakiem; jest to galicyjanin aspirant, torujący sobie drogę, bądź nawprost przebojem, bądź ubocznie na Borydżow. Bo niewiadomo, jak wypadnie. Rząd wiedeński rozpoznał erę konstytucyjną od faworyzowania rusinów; obecnie faworyzują polaków, jutro do rusinów nawróci. Jedni i drudzy liczyć mogą na szanse. Dalei nie karstwo, w którym ci i ci składają „nucę swoich kwiaty i myśli swoich przedę”, przedstawia się, jako arena współzawodnictwa, którym praca okazuje bywa parlament. Donoszą jedni na drugich i oskarżają się wzajemnie przed dziurawymi berło opinii publicznej w Austrii — żydami.

Trudno, ażeby ci, co w hocy tej udział biorą, widzieli ją tak, jak się ona pokazuje patrzającemu uważnie z boku. Nie jest ona zaiste budująca. Smutek serce ścisła, gdy się pomyśli, że Galicya mogłaby, przy innych warunkach, zrobić wiele, a nie jest w stanie nawet nafrak swojej od wyższych fiskalnych obciążeń. Stan jej ekonomiczny jest pochylaniem się w przepaść; stan społeczny wykazuje w perspektywie możliwości katastrofy najgłębszej; stan polityczny przedstawia się pod postacią sporów zawziętych o szersze kozią; stan cywilizacyjny wyraża się za pomocą posuwania się w kierunku wstecznym. Smutno — smutno! Gdybyśmy byli galicyjaninem polakiem, obwiniałby rusinów; gdybyśmy byli galicyjaninem rusinem, obwiniałby polaków; albo też obrabialy drogę pośrednią i, otoczywszy się kłębami dymu filozoficznego, usunął się w kącie humorystyczny. Nie będąc tym, ani owym i nie smakując w dymach filozoficznych, obwiniam rękę, co głaszcze i popycha w kierunku nie tym, ale tym. Dla Austrii Galicya stanowi pod względem państwowym, ekonomicznym i politycznym rodzaj przystawki, obokodzącej ją o tyle, o ile jest rezerwuarem militarnym, dostarczającym w najlepszym gatunku rekrutów. Dlatego po głowach głaszczą i po ramionach klepie tych *kerlen*, którym na to, ażeby się w szeregach dobrze prezentowali i powinność bojową należycie pełnili, nie potrzeba ani zgody społeczeństwa, ani harmonii społecznej, ani oświaty, ale tylko — zapatrzenia się w Austrię. Fakt jest: Austrija korzysta innych z Galicyi nie ciągnie, nie chodzi więc jej o co innego, jak o to, aże-

by się „kawki” i „orły” rozmiłowały w kolorze czarno-żółtym, cieszącym się protekcją szczególną kościoła katolickiego, któremu znów szczególnie „niepotrzebna jest oświata.” Gdy kolega Iwan Franko uwagę na niedomagania ogólnego Galicyi przyczyni źródłowe zwroci, może mi nieco racji przyzna i sędziem w części odpowiedzialność z polaków galicyjskich, którzy tem głównie zawiniли, że, zaniechawszy *liberum conscripto*, przesadzili w faworach „rusinów galicyjskich.” Na faworach tych sami jaknajgorzej wychodzą. Oczko więc? — jaka na to rada?...

T. T. Jez.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Międzynarodowe *enfant-terrible*, księcia bułgarskiego nie daje na chwilę zasnąć spokojnie dyplomacji europejskiej; otrzymuje od upomnienia i nagany, wysłuchuje spokojnie groźb, skierowanych zresztą nie wprost do niego, lecz do Porty i nieoprawny brnie dalej, wbrew postanowieniom „zbiorowej woli” Europy. Teraz znów nałożył cło na towary sprowadzane z Turcji, co jest już nie tylko naruszeniem praw politycznych, ale i umów handlowych. Ze sposobności tej skorzystała Francja, aby wystąpić przeciw Bułgarii, a raczej za znaczyć zgodność swej polityki z rosyjską.

W ostatnich dniach dzienniki mówiły wiele o przymierzu, zawartem jakoby pomiędzy Turcją, Bułgarią i Rumunią; że układy między dwoma ostatnimi państwami toczą się — nie nęga wątpliwości, że Turcja chętnie powita związek, który w części chociaż zabezpiecza na wypadek wojny jej posiadłości europejskie — również jest jasnem. Ale sprzymierzyć się są dosyć silni, ażeby stawili poważny odpór, szukając więc dla sojuszu swego możnych opiekunów. Zapewne w związku z temi poszukiwaniami jest właśnie podróże księcia Aleksandra, który nagle, jak donoszą telegramy, znalazł się w Pesszie.

W ostatnim tygodniu czarnogórzy napadli na posterunki tureckie, nie wiadomo jednak, czy krok ten uważał należy jako umówione z góry rozpoczęcie zawieruchy,

czy też jako zwyczajną bójkę graniczną; przedzie to ostatnio chyba, bo na wykreślenie nowej iskry hercegowińskiej jeszcze zawczasem, dzisiaj niht nie ma chęci ani możności rozdmuchiwać jej w pożar ogólny.

Wybory do parlamentu angielskiego odbywały się już od dziesięciu, ale niepodobna jeszcze przewidzieć ich rezultatów. Zachowawcy mają dotychczas wielką przewagę, która wszakże nie daje podstawy do wnioskowania o ich zwycięstwo. Dotychczas głosowali dopiero miasta, które w znacznej części wybierają zawsze tryędy. Gładsione liczy najwięcej na okręgi wiejskie, zwłaszcza zaś na nowe kategorie wyborców, zawiązujące mu swój udział w życiu parlamentarnem. Agitacja wyborcza odbywa się nader gorąco; w Londynie jednego kandydata o mało nie uduślił przeciwnicy, drugiego zaś tak zbili, że w parę dni potem umarł. Nisprawoznajęsz rozroczni mieli miejsce w Dublinie, gdzie irlandzcy napadli na klub zachowawców, w walce padło kilkudziesięciu rannych i kilku zabitych; dopiero wojsku i policy udało się rozpedzić roznamietnione tłumy.

Rząd niemiecki stosuje z bezwzględnością surowością zakazy wszelkich stowarzyszeń polskich; pomimo protestu rektora i profesorów uniwersytetu we Wrocławiu, rozwiązano tam wszystkie związki młodzieży polskiej, chociaż niektóre z nich istniały oddawna pod ścisłą kontrolą władzy szkolnej, inne zaś miały tylko cele naukowe, jak np. towarzystwo studentów-medyków i t. p.

W Bawarii rządzące dotychczas krajem ministerium narodowo-liberalne, musiało wskutek oburzenia poważniejszego poddać się do dymisji; było to tembardziej właściwem, że w Izbie większość głosów posiadała katolicy i separatysty. W Berlinie jednak nie życzyono sobie zmiany gabinetu i wyrażono to jasno, regent państwa poprosił więc p. Lutza o objęcie napowrót stercu rządu.

Nieulepój od niemieckiego wygląda konstytucjonalizm austriacki. Hr. Taaffe minował znowu ministrem urzędnika, nieposiadającego mandatu poselskiego, hr. Bequeghema, prezydenta Szlaski, młodego, zrujnowanego arystokratę i w dodatku stronniaka lewicy niemieckiej. Powszechnie policy krzywią się na to mianowanie, ale,

To mówiąc, wpil się żarłocznym dziobem w oko przyjaciela.

II.

Mrzonka młodości.

Podaj mi rękę, idealna istoto — tyś celem mego życia. W snach dziecięcych widywałem anioła: nim byłas ty.

Gdyś słuchoł szuma drzew na mogile mego matki, słowik rasownie dźwięczał w gąsienicach — śpiewał ci tobie.

Gdyś młodziemchem marzył o nadziarskich ousach, o zaklętych królowanach, o krainach wiecznej wiosny i wiecznego szczęścia — tyś zawsze była za mną.

Gdyś słyszał w świątyniach o umęczonych dla prawdy, miłości i cnoty — twój obraz widziałem przed sobą.

Złoty mi promieniami drga serca poranna i rzuca purpurowy blask dokoła — to świeci oko twoje.

Przeważ mnie, gwiazdo przewodnia, oderwij od kursu ziemi, wzniesń na twych skrzydłach, uświed, bom mizerny robak padółu.

Wekś mi drogę, nauze, jak mam pełnić ma powinność względem braci. Wtór na mo barki ciężar wszystkich cierpień i też ludzkości.

Umyśl mój, eżwony badaniem sprzeczności zasad ludzkich, zrozumie twój głos.

Ramię moje, zahartowane pracą, nie zawiesz się.

Marnie blyskotki są nicozem — duch both nie ożywia ich. Piękno jest w duchu; świadomością zaś prawa życia wobec natury — praca.

Patrz, wiosna! Strumyki spadają kaskadami; szemra, a zielone listki szła wó; łaki przybrały się kwiatami; ptaki szczeni — one wzywają nas — pójdźmy!

Kedziory two uroczu igrają z zefirem i zdobia czarodziejskimi cieniami two oblicze. Weź niezabudkę, niech ubarwia two czyste łono; bierz różę, niech ozdabia two czoło.

Tyś czysta, jako kropła majowej rosy; usta two — kieliach, z którego piją nektar bogi.

Obudź ze mna! Niech uśmiech twój, jak słońce, oświeca drogę mego życia i ożywia moje istnienie.

Tyś moja, zadna władza niebios i ziemi nie oderwie cię z mego łona; tyś meo istnieniem — bez ciebie jam nie.

Twe czoło zasłonie sięg. To tylko ciemna chmura zakryła mi niebo... Co ci jest?

Jesli me słowa nierozważne — przebac! Nie powinny cię obrazić, jak robak nie może obrazić ołtarza, na którym znalazł się przypadkiem.

Zajrzyj w moją duszę, przejrzyś ją do głębi; ona tylko modlić się umie przed tobą.

Boże! Ona odechodzi. Ona mnie porzuca na rozdrożu. Miła, ożywia, obejrz się na mnie!.

Nie spojrzala.

* * *

Nastala jesien ciemna i mglista. Rzeka niesie w szerokich ramionach zasyły lodu. Pozółkłe listy, zginęły kwiaty, zginęły mrzonki.

Na cementarsu dla biednych wznosi się nowy grób, w nim zawarto wszystko, co żyło, wrzuto, unosiło się na skrzydłach wyobraźni do nieba.

Wszystko znikło, tylko wiatr jesien ny rywa z blaskich drzew pozółkłe listy i rzuca na kurhany samotne.

A ona?

Ona ma jasne czoło, promieniste oczy, czarodziejskie ruchy.

Jej szczyta, ręce, włosy i piers ubarwione brylantami, które iękają się i wabią ku sobie oko...

Oko tego, który ją kupił na targu powszedniego życia.

(D. c. n.)

Brolis.

jak zawsze, „z wyższych względów” milo-
czy.

Francuski minister wojny, generał Boulanger, popierany przez radykałów, prowadzi zbyt energicznie t. zw. oczyszczanie armii i kłóci się nie tylko z kolegami swymi w rządzie, ale i z generałami, zajmującymi wyższe stanowiska. Awantura z generałem Sausier, dowódcą korpusu paryskiego, uważany za najlepsze obecnie strategika i przyszłego bohatera wojny odwetowej, zakończyła się pogodzeniem zwązianych, ale zrobiła ministrowi wielu nieprzyjaciół, dających do usunięcia go od władzy, co znówu byłoby dla radykalnych hasłem do wystąpienia przeciw rządowi. Przecislenie ministeryalne jest więc bardzo małożem.

W Belgii herbobocia trwają ciągle, od czasu do czasu są powtarzają się zaburzenia uliczne; takiego naprężenia stosunków długo wytrzymała niepodobna, skończy się ono musi gwałtownym przewrotem, czy to rewolucją, czy zupełną reakcją.

BADANIA NAUKOWE.

USTRÓJ SPOŁECZNY U LUDÓW PIERWOTNYCH.

III.

Gmina pelauszczyków jest już wytworem dłuższego rozwoju społecznego, gdyż powstaje wskutek oddziaływania na się kilku blawów nie zawsze pokrewnych: w ten sam sposób, pod wpływem jednych gmin na drugie, rozwinęły się na wyspach Pelau jeszcze szersze związki — *federacje gmin kilku*, o zasadzie następującej: blawo, kaldebekale i osoby tego samego numeru porządkowego uważają się jako równe sobie. Sama sprawa takiego społecznizacji gmin pojedynczych w związki wyższe odbywała się i odbywa drogą różnorodną: dwie łączą się na prawach zupełnej równości w celach wzajemnej obrony oraz wymiany pokojowej kobiet pod postacią armengolów i blokololów, jest to związek gmin niepokrewnych; lub też z powodu wzrostu gminy, część ludności emigruje i osiedla się oddzielnie, zachowując związki przyjacieleckie ze swą matierzą — w takich takich obcowaniu małżeńskie donoszą ograniczenia, a stosunki wszystkie sprowadzają się do przymierzania wzajemnej solidarności. Wreszcie gmina jedna względem drugiej znajdował się może w stosunkach haraazu — mianowicie gdy jedna osiedla się na gruntach drugiej lub też została pokonana w walce, a haraaz niszczy się pod postacią kobiet, wysyłanych do armengolu gminy przewodzącej. Atoli zawsze i wszędzie rozwijają takim wyższej jednostki społecznej na wyspach Pelau — związki gmin kilku, przyswójca ta sama idea zasadnicza: każda gmina w swych częściach składowych winna pozostać niekietnią. Wobec tego „gmina oddzielną w żaden sposób nie warstawa terytorjalnie lub społecznie drogą podboju, do tego dojdzie może jedynie wskutek płodności swych kobiet. Nie mogło też powstać żadne państwo trwałe za zarządzeniem centralistycznym, tylko federacja gmin, które w życiu swym wewnętrznym piastują niezależność zupełną i związane są przymierzem wzajemnym tak długo, pod którego wymaga ich słabość liczebna.

Oto w zarysach najogólniejszych skielet pojęcia społecznego pelauszczyków, o całej niebo odmienny od tego, jak kreśli go tom V *Antropologii* Waitza. Nie masz tu ani „kroli,” coły w swem ręku, jaką swą własność wyłączną” dzierżyły grunta, ani „szlachty dziedzicznej.” Wszystkie okazało

się przywidzeniem podróżników, domieszką subiektywną z ich strony, jak to odgadł Ziber — jeden z dowodów przemawiających za reprezentowaną przez te teorię rozwoju społecznego. Z drugiej znowu strony, wbrew orzeczeniom Spencerów, Lubbocków i in., widzących w ludach pierwotnych li tylko „jednołitą, chaotyczną i nieopiniowaną sumę jednostek,” ustrój społeczny pelauszczyków (zaliczanych jak wszystkie wyspiarzy oceanu Spokojnego do azoepów najmniej położonych w hierarchii ludzkiej) okazują się nader zróżnicowanym, a przedewszystkiem nader spójnym w swym całokształcie i określonym w swych funkcjach. W znachowaniu się wzajemnem ludności — powiada Kubary — panuje drobniagowa ścisłość i niewzruszony porządek, wśród którego każda jednostka pojedyncza świadoma jest swego stanowiska i wynikającego stąd trybu postępowania. „Stosunki małżeńskie (a pod to pojęcie włączamy wszelkie stosunki dozwolone zwyczajem między oboma płeciami) i pokrewieństwa, organizacja hierarchiczna rodu, hierarchia rodów oddzielnych w gminie, kaldebekale i ich ustrój, blokolole i armengole, wreszcie federacje gmin kilku — wszystko to nosi na sobie piętno niejakiej dorywczolności, lecz przeciwnie, co krok zdradza zupełne ułożenie się stosunków. Samo postępowanie prywatne reguluje się prawem zwyczajowem, zawsze obecnem i wyrytem w umyśle każdego pelauszczyka. Nie dość tego. Rozpatrując ustawę społeczną wyspiarzy z Pelau i porównując ją z ustawami innych ras, najdalszych, „dojdziemy do wniosku, że organizacja ta, mimo swe niskie szczeble, nosi znamiona dłuższego już rozwoju. To jednocześnie rodów oddzielnych w gminie jednej, i do tego rodów nie zawsze pokrewnych, to uszerogowanie ich następuje w porządku stałym, owe kaldebekale i armengole nigdzie prawie nienapotykanne, itd. — wszystko to nie odrzuca zostało spłodzone przez jakiegoś prawodawcę, nie spadło pewnego pięknego porąnika z nieba, lecz stanowi płód nader długiego procesu rozwojowego. Jak proces ów kroczył, zdolamy to sobie uobecnąć, skoro wzraskniemy w umyśle swym rezultaty studyów Morgana, Fisona i in.

Pierwszym zawiązkiem społeczeństwa jest, że tak rzekniemy, stado ludzkie, nieznaające żadnych ograniczeń w obcowaniu małżeńskim, nie ma tu ani ojców, ani dzieci, braci lub sióstr, gdyż istnieje tylko mękożyna i kobieta. Z takiego stanu rzeczy, pod wpływem doboru naturalnego, zaczynają wyosabiać się grona ciśniejsze wspólnych małżonków — stado pierwotne rozpada się na warstwy generacji bezpośrednich, a więc dziadów, rodziców, dzieci, wnuków. Wśród każdej generacji odrębnej panuje nieokreślona swoboda małżeńska, siostry wszystkie są żonami braci, a wszyscy stryjowie — ojcami generacji następującej. Atoli wyosabianie nie następuje; szranki obcowania płciowego ulegają zwężeniu, aż wreszcie jednolita pierwotna gromada rozpada się na części (tak zwane rody), związane w jedną całość wzajemną eksogamią, wewnątrz których wszelkie stosunki małżeńskie są surowo zakazane. Typ ten ostatni pojęcia społecznego w jego formie najniższej odkryli w Australii Howitt i Fison. Plemiona tutajtejsze rozpadały się na dwie części, np. plemię z pod gór gamberskich na kumitów i krokosów. Wszystkie kobiety z poród kumitów są żonami bez różnicy każdego krokosa, wszyscy znowu kumici są mężami wszystkich kobiet z podplemienia krokosów, a takie prawa wzajemne szeroko bywają praktykowane na wspólnych uroczystościach. Jest to małżeństwo nie jednostki z jednostką, lecz grupy z grupą. Ostatnie ślady takich małżeństw napotyknąmy jeszcze wśród pelauszczyków — bo o czemże innem są owe armengole i blokolole oraz odawa-

nie się młodej dziewczyny — wszystkim mękożynom osady? Atoli na tej podwalinie wykluło się już obcowanie dwóch określonych jednostek w postaci trwałych związków małżeńskich, w jakie wstępuje młodocyna po przejściu pierwszych lat młodości.

W porównaniu z ustrojem społecznym, zbadanym w Australii, wyspy pelauskie przedstawiają już spory krok naprzód — być może, ku temu przyczyniło się wielce przykucie mieszkanców do niezaczętej przestrzeni wysp kilku, gdzie z konieczności zaprzestali musieli koczowniczego trybu życia i rozpoczęli osiadłość, wskutek czego i ustrój społeczny skomplikował się do niepoznania i w porównaniu z prostym ustrojem społeczeństw pierwotnych. Na tej grupie wysp widzimy już zatem nie pierwotnie społeczne (które też nigdzie nie zostały się pono na globie ziemskim), lecz wynik dłuższego procesu dalekiego, w którym bismy zdobyli zarysować nawet pojedyncze etapy, gdyż brak miejsca nie stał się na zawadzie.

Co więcej, ustrój pelauszczyków już tak skomplikował się, że stanowi przejście do społeczeństwa rodowego do terytorjalnego. W organizacjach rodowych jądro, dookoła którego skupia się całe pojęcie społeczne, stanowi samica-matka, a więzami, łączącymi ludzi w jedną społeczność, są ściągna pokrewieństwa. Mękożyna gra rolę drugorzędną, jest niby przydatkiem, acz koniecznym wobec kobiety. Taką konstrukcją społeczną powtarza zasady, na których wznoszą się społeczeństwa zwierzęce: nie pieszcz, mrowiska — ogniisko społeczne stanowi tu samica-rodzicielka, a samce są jedynie zapładniającymi, na czem kończą się ich wszystkie funkcje. Lecz wróćmy do pelauszczyków. Życie tutajtejsze skupia się w domostwach rodowych, dookoła blawów, utrzymywanych w istnieniu przez kobiety. Kobieta-matka stanowi więc podwalinę blawu, tej zasadniczej jednostki społecznej. Czem zaś jest wobec niej mękożyna? Odpowiadamy na to słowy naszego etnografy-podróznika: „Śledząc za przebiegiem życia mękożyny, widzimy, że swą młodość spędza, że tak rzekniemy, bez wyrobku na przyszląd. W domu obokula lub rodziową jest, jedynie gościom oddziennym, noż musi przebywać w bayu — i to nie dlatego, że jest członkiem kaldebekala, lecz ponieważ wywołaj nakazuje trzymać młodą męską zdale od domu rodziców. Również jako małżonek nie ma prawa kosztować wczasu z swą żoną w domu teściów, gdyż w zmroku nocą wraz z połowicą swą winien wdrować do jakiegosi opuszczonego a odludnego budyńku, aż poki na ożywienie nie założy własnego ogniiska. Atoli i wtedy nie lepiej, bo i naonczas kaldebekal pobłania większą połowę czasu, opowiadując zupełnie jego sposób życia i poglądy. Jak wśród greków starożytnych, sprawy gminy całą zabierają uwagę — wszystko tu jest kwestyją publiczną, tak, że za ledwie zdola on udać się na połów ryb na swe potrzeby. Żyje więc, naproczno chcąc spłodzić harmonijnie to wykluczające się żywioły. Interesy rodu zagarniają jedną połowę życia, a druga pożytki małżeńskie — wśród tych biegunów snuje się żywot jego, pełen terasliwości, lecz bez rezultatów na przyszląd.” Prócz takiego dorywczego życia ze strony mękożyny i wyśnięcia na plan pierwszy kobiety-rodzicielki, u pelauszczyków spotykamy jeszcze inne cechy ustroju rodowego: hierarchia społeczna wśród blawów opiera się na wieku, jak to widzimy w postaci obokulów i najstarszych kobiet rodu, atoli te ogniwa najwyższe hierarchii rodowej zgoda nie posiadają despotycznej władzy ojców rodziny pałacjonalnej, gdyż we wszystkich sprawach po za obłożem „należników,” ukazują się powtarzają gmin rodowy, kontrolujący postępowanie swych glów.

Spółczesność pelauskie przedstawia, jak zaklęmy, nieco więcej nad astroj rodowy, nosi już bowiem w swem łonie zarodki rozkładu a pierwociny ustroju terytorjalnego, tej negacyi społeczeństwa pierwotnych, opartych na związkach krwi. Społeczność terytorjalna utrzymują nie siła pęt pokrewieństwa, lecz wzajemna zależność stosunków polityczno-ekonomicznych; staowisko człowieka określa się nie jego wiekiem lub stopniem pokrewieństwa, lecz przywilejem; zamiast naturalnego wzrostu drogi płodności swych kobiet, wzrasta on w sposób przymuszony, za pomocą podbojów. Proces ów wyłania się ustroju terytorjalnego z rodowego, krocący żywiołowo, nieświadomie dla samych uczestników, jak wogóle wszystkie dotychczasowe procesy społeczne, zapuścił już głęboko swe korzenie w pożyte społeczne wyspiary z Pelau. Wśród gminy tutejszej mamy już gradację rodów, i do tego obcych sobie i niepokrewnych — lubo bowiem wyżej położone muszą nieść większe ciężary społeczne, przecież to stanu rzeczy nie zmienia, że pośród gminy rodowej poczyną grać rolę pierwsiastek nieznaną w ustroju rodowym — dziedziczo pierwszeństwo pewnych rodów. W ten sposób powstawała szlachta — badania Maurera i Landau nad marką tuntuńska, Nassero — nad anglosaską a Maine'a — nad gminą rolną hinduską dostatecznie to wyświadcili. Pierwszeństwo jednych rodów — to związek stosunków feudalnych, wśród których uprzywilejowany ród (lub wśród niego uprzywilejowana jakas gałąź) uwalnia się w procesie rozwijającym społeczeństwa od obowiązków wszelkich, zagarniając natomiast prawa wszystkie i zwalniając wszystkie ciężary na pozostałych członków plemienia (lub rodu), które w ten sposób z wolnych jednostek zamieniają się na poddane rodowi uprzywilejowanemu, przywłaszczającemu zarazem prawa zwierzchności administracyjnej i religijnej oraz dotychczas zbiorową posiadłość gruntów — w swój przywilej dziedziczo-indywidualny. Nawet to oddawanie się dorastającej dziewczyny z kolei wszystkim mężczyznom gminy, poczynając od naczelnika nr 1, nie omieszkaboby przyjąć innej formy — formy prawa pierwszego noy, jak to widzimy na przykładzie feudalnej Europy. Nie dość tego, gdyż na Pelau, krom tak uprzywilejowanych rodów widzimy jeszcze nieco więcej — sprostrogamy bowiem już związki państwa, tej kwintesencji społeczeństwa terytorjalnego. Wzrostu to związki dwóch lub więcej gmin, co oparte są na haraczu, a powstały stąd, że gmina jedna zwyciężyła drugą lub osiedliła się na obcych gruntach — z obu tych przypadków krok tylko jeden do dalszej feudalizacji ustroju rodowego. Trzeba jedynie domieszk czynników zewnętrznych, a rozprzeczanie się takie ukształtowania rodowego i wyłanianie społeczeństw państwowych pójdzie szczybel, w oczach uczestniczących jednostek przybierając kształty namacalne, jako proces wywołany z zewnątrz, przez obce jakieś potęgi. Dość, żeby wyładował człowiek biały, odwierciedlający kategorie ustroju terytorjalnego, by w obokło zwoły „króla, „w dziedziczości hierarchii białów — dziedziczość uprzywilejowaną, w zbiorowym majątku rodu — prywatną własność „króla, w stosunku haraczowym lub lennym — stosunek państwowy, by wreszcie postępowaniem odpowiedniem, zaoferowaniem z podłożenia pod instytucje rodowe kategorie terytorjalno-państwowych rozdzieli dalej tkwince pierwsiastki rozkładu i nadal sankcyje zamaom ze strony kłokujących przywilejów na swobodę społeczną, a organizacja terytorjalna roznieście i unicestwi węzły rodowe. W ten sposób angley w Indrach Pradgangesowych stworzyli nieznaną tu dotychczas szlachetkę feudalną — czytelnik znajdzie skreślenie

procesu tego w dziełach Maine'a. To samo powtarza się obecnie na wyspach pelauskich, gdyż okretę europejską, biorąc pod opiekę swą pewne rody lub gminy, uduchają im tem samem poparcia w ich tendencjach zaczepno-drapieżnych. Ałoi, wakotek śmiertelności, która rozsiadła się nad tym zaczepem pierwotnym lub raczej wskutek niepłodności kobiet, zamiast feudalizacji ustroju rodowego, to wdanie się potęg zewnętrznych prapyspisia li tylko wzmieranie wyspiary.

Kabary jaskrawo kreśli jak ta olbrzymia, bo 12-procentowa przewyżka kaldebołności nad płodnością zmniejsza kaldebołkę, unicestwia biolokole, rajnuje zwycięzcy armogole. Lat jeszcze kilka, być może kilkanaście — a po tej rasie pierwotnej, co zaludniał wypły oceanu Spokojnego, nie nie zostanie, krom licznych opowieści fat-szywych, próbki których przytoczyliśmy z Waitza, prócz kilku prac sumiennych w rodzaju Howitta, Colenso lub Kubarego, wreszcie próca okazów broni i narzędzi rodów muzeów. W ojożyźnie kaldebołków rozłoży swą siedzibę człowiek ewylizowany, nie pomagaj, że depcze po ziemi szczepów obcych, którym być może przyniósł śmierć i zgnę — zaledwie jakiś André lub Quatrefages będzie oplakiwał zgon przedczasytny tych ludów pierwotnych, niepozwalający nauce na drobniagawieśnienne zbadanie ich bytu...

Lud. Krz.

PSYCHOLOGIA ZWIERZĄT.

II.

Zasadnicze pytanie o istnienie lub nieistnienie psychologii zwierząt, jako samodzielnego gałęzi wiedzy, uważa Wundt za rozstrzygnięte i twierdzi; właściwymi zaś sobie wyzyczymając występuje wprost do skreślenia krótkich już dziejów i rozbioru metod. Naukę tę — zdaniem jego — traktowano dotąd po maozesem, poezostawiając ją w opiece już do praktycznych hodowców zwierząt, już dyletantów. „Wszystkie wnioski o przyrodzie t. zw. duszy zwierzęcej, do jakich różnymi czasami przychozila filozofia, były raczej nie wyrazem istotnych spostrzeżeń, ale odblyskiem ogólnych poglądów, jakie wytworzano sobie na stosunek zwierząt do człowieka.“ Przytoczywszy następnie zdanie wzmiankowanego wyżej Chrystyna Wolfa, oświadczając się autor przeciwko uprawianiu psychologii zwierząt *in abstracto*, tj. jako ogólnej jakiejś, na ścisłych badaniach nie opartej filozofii, rozprawiającej bądź o duszy, bądź o instynktach, bądź o zmysłowości zwierząt wogóle i niechającej się zniżyć do zbadania albo pojedynczych objawów duchowego ich życia, albo też duchowości poszczególnych istot zwierzęcych. Tak samo jak anatom, nie pisząc anatomii zwierząt wogóle, musi zadowalać się badaniem i opisem budowy psa, konia, wilka — słowem, jakiejś organizmy konkretnej, podobnie też powinien byłby postępować psycholog. Wnioski ogólne, streszczające w sobie to wszystko, cokolwiek powiedzić możemy o świadomości zwierząt, powinny byłyby być wynikiem takich badań szczególnych; dotąd wszakże uczeni pierwszemu, nie zaś drugiemu kierunkowi z większą oddawali się skwapliwoscia. Badając najrozmaitsze teorie „instynktu“ i „inteligencji“ zwierząt, rzadko bardzo czas ewój poświęcali na tworzenie monografii poszczególnych. Darwin, jak wiemy, był jednym z pierwszych, którzy poszukiwami tej gałęzi wiedzy sprowadzali na właściwą drogę.

Obecnie rozwój psychologii zwierząt dwie głównie przeszkody staje na zawadzie: jedną jest wadliwa i niezmiernie

utrudniona krytyka spostrzeżeń, druga — nieprzezwyciężona skłonność badawców do utożsamiania objawów życia duchowego zwierząt ze zjawiskami umysłowymi ludzkimi. Pierwszy szkopuł jest tym groźniejszy, iż uczeni zależnymi tu są w znacznej mierze od spostrzeżeń przetrząsanych dyletantów: myślnych, praktycznych hodowców itp., z których każdy usiłuje opowiadania swe ubarwić, że dał spostrzeżenia samodzielnie na tem polu należąc do niezmiernie trądnych, że wreszcie zwierzęta domowe, najbardziej podległe naszemu spostrzeżeniu, są tutaj materyałem najgorzszym, że zaś, których przyrody wpływ oswajania nie spacył — zwierzęta dziko wymykają się uwadze badawców. Drugi szkopuł — używanie złych analogii, skłonność do tłomaczenia objawów ducha zwierzęcego na język świadomości ludzkiej — nieobliczonego psychologii wyrządził i wyrządza szkody. Rozpatrzenie ich przyprawa Wundta do zagadnień bardzo ciekawych, jakkolwiek nie tak ściśle z obecnym jego przedmiotem się wiążyących. Idzie mu o rozbiór opartych na biologii i psychologii pojęć socjologicznych, idzie mu mianowicie o rozwiązanie tych kłuc, powszechnie dziś w Europie wehłednicy i zachodniej poruszanych zagadnień: Czy społeczeństwo jest organizmem? Jeśli nie, to: jaka jest pomiędzy jadem i drogiem różnica? O ile organizm biologizmy — może nosić nazwę społeczeństwa, kolonii itp.? Jakie i gdzie znaleźć można najogólniejsze kryterium do rozstrzygnięcia wszystkich tych pytań? Autor wspomina kolejno o odnośnych poglądach Spencera, Schafflego, Espinas'a itd. Rozbiór jego, jakkolwiek krótki i dość powierzchowny, przeprowadza nas jednak do wniosku, pod jednym przynajmniej względem rozstrzygającego wątpliwosc. Do zaznaczenia wyraźnej granicy pomiędzy ustrojem społecznym i organizmem biologizmy — powołana jest *psychologia*. Tam, gdzie pojedyncze części całości związane są ze sobą tylko biologizmem i własnościami — mamy do czynienia z organizmem; tam zaś, gdzie w stosunkach pomiędzy temi częściami występują czynniki duchowe jakiegokolwiek natury, otrzymujemy społeczeństwo. Pośrednio ze słów powyższych socjologicznie zaczerpnąć mogą cenne wskazówki: jeżeli rysozaitwo utożsamianie objawów życia społecznego zwierząt ze zjawiskami, wehłedzacyimi do zakresu naszej socjologii, jest szkodliwe, to za to z odpowiednią ostrożnością przedsięwzięte badania społecznych grup zwierzęcych nie małe nam oddać mogą usługi.

W tłomaczeniu zjawisk życia społecznego potężną rolę odgrywała i odgrywa dziś jeszcze teoria instynktów. Najcięższą jest właśnie ta część pracy Wundta, w której występuje on przeciwko temu przestawianemu i nie dzisiaj niełomaczemu pojęciu. Teologia, a właściwie teologia czasów ubiegłych radziła sobie z instynktem znakomicie: pojęcie to opierało się na teorii t. zw. wyobrażeń wrodzonych. Nie było nic łatwiejszego dla dawnych teologów, jak wytlomaczyć sobie i innym tajemnice istnienia owych wyobrażeń. Tak samo, jak w umyśle człowieka złożył Bóg gotowe wyobrażenia dobrego i złego, tak samo też — twierdzili oni — umysłowosc zwierząt zaopatrzyl on w pewien zasób wrodzonych, gotowych wyobrażeń. Jaskółka przynosiła z sobą na świat wrodzone wyobrażenia gniazda, bobr swego domku itp. Teoria wyobrażeń wrodzonych nie tylko nie osłabia, ale wzmocniła się pod wpływem Darwinizmu. W dziedzinności wyznaczonej dla niej nowy *modus vivendi*. Nie nie może być bardziej błędnym pod przypuszczeniem, iż dzieci odziedziczą po rodzicach gotowe wyobrażenia, a jednak zdanie to wprost lub ubocznie wyrażają powagi naukowe nieposłusznej wartości. Niedługo np. jeden z profesorów tutejszego uniwersytetu, na posiedzeniu Tow. Ogr.

określił instynkt, jako „odziedziczoną pamięć”. Ponieważ pamięć psychologiczna niemożliwą jest bez wyobrażeń, przeto oświadczenie profesora równało się temu właśnie poglądowi zbyt gorliwych i niezawasze krytycznych durniów, który podstawy dla instynktu szuka we wrodzonych tj. odziedziczonych wyobrażeniach. Poglądy te zwałowa Wundt w sposób orzekający. Dziwna rzecz — powiada on — gubią się w nieudatnych upodobnieniach i porównaniach umysłowości zwierząt z ludzką, uczeni badacze nie chcą użyć tego środka tam właśnie, gdzie mógłby być skutecznym. Trudno sobie przedstawić wyobrażenia bardziej proste nad nasze wyobrażenia zmysłowe, np. nad wyobrażenia barwy, lub światła. Otóż z niczyichże dowiedzeń, dokonanych nad ślimaki od narodzenia, okazuje się, iż ci ostatni, przed zdjęciem im katarakty, ani o barwie, ani o świetle najbliższemu nie mieli wyobrażenia. Tem bardziej więc jakkolwiek nie może odziedziczać po przodkach swych wyobrażeń tak złożonych, jak np. wyobrażenia gąsienicy. Co najwyżej przypuścić możemy w instatach ludzkich i zwierzęcych odziedziczenie pewnych usposobień (analogi) i związanej z nimi zdolności odruchów.

Wzemy przykład, przytoczony przez Wundta. Pewne zewnętrzne i wewnętrzne warunki życia (drugie wyobrazić sobie możemy w postaci jakichś zmian drobinowych w ustroju) rodzą w umysłowości dziecka poczucie głodu. Poczucie to droga odziedziczonych usposobień łączy się w jego organizmie z szeregiem odruchów; z tych jedno nie mają dla młodzieńczego organizmu żadnej wartości, inne zaś wprowadzają zaspokojenie uczucia głodu. Rozwój duchowy istoty wyodrębnia, wysobnia ostatnie ruchy jako celowe tj. odpowiadające pewnym nświadczonym potrzebom organizmu. Z biegiem czasu wola podejmuje się ruchów tych kierownictwa. Z tego punktu widzenia wola wyrażać może wpływ nie tylko na zewnętrzne stosunki pomiędzy jednostkami, ale tylko na ruchy ich zewnętrzne, ale też i na wewnętrzne, drobinową (molekularną) budowę ich ciała. W uznaniu tej prawdy pojęcie celowości zyskuje nowe i niespodziewane wytworzenie. Biologiczny rozwój zwierząt i ludzi celowym jest w znacznym mierze dlatego, iż odbywa się pod wpływem świadomej woli swych woli. Z tego stanowiska bez wszelkiej już przenosić powiedziedź będziemy mogli wraz z Wundtem, iż dzieje cielesnego rozwoju istot żyjących są niejako obrazem (Abbild) albo oddźwiękiem rozwoju ich ducha.

J. K. Potocki.

PRAWOZNAWSTWO.

Dr Ostrożyński Wł. Prawo wyższej konieczności. Lwów, 1886.

Są w życiu wypadki, w których dwa dobra w takim względem siebie wchodzą położenie, iż jedno tylko kosztem drugiego może się ocalić. Człowiek staje wtedy przed następującym wyborem: albo uszanuje cudze dobro, a wtedy poświęci własne, albo ocali własne, a wtedy naruszy cudze. Tego rodzaju kolizję nazywamy stanem, albo, jak chcą inni, prawem wyższej konieczności. Za przykład posłużyć może rozbiitek morski, który ratuje swe życie kosztem życia towarzysza, albo: zagrożony śmiercią cieciem, dla obrony posuwający między siebie a napastnika osobę obok stojącą, jak na niewinną, wskutek czego oia są trafia. Prawo wyższej konieczności tem się różni od pokrownie np. obrony konieczności, że tam staje prawo przeciwko prawu, tu zaś prawo odpioru bezprawiu; tam-

to jest napadem, to obroną. Że czyn popełniony w ostatnim wypadku jest bezkarnym — wobec prawa, to dziś już nie ulega wątpliwości; co do prawa wyższej konieczności zachodzą znaczne różnice zdań, o czem już pisał Krauslar (*O stanie konieczności w prawie karnem*. Kraków, 1868.), a co na nowo podjął p. Ostrożyński w wyżej wymienionej książce.

Jest to praca początkującego autora, docenta nauk społecznych w wyższej szkole dublańskiej, sumienna, obejmująca bogatą w tym przedmiocie literaturę niemiecką, odznaczającą się nawet pewną szermiarką dyalektyczną, ale nie rozwiązującą kwestyi całej zasadniczo, niewzruszającą zupełnie ani nowych poglądów na filozofię, prawa znakomitych pisarzy francuskich i angielskich, ani badań filozoficzno-psychologicznych, któreby rzuciły nowe światło na naturę stanu wyższej konieczności.

W pierwszej części rozprawy, przedstawiającej historię i rozwój kwestyi wyższej konieczności, zaczynając od prawa rzymskiego i kanonicznego, a skończywszy na najnowszych spornych poglądach prawników niemieckich (Janka *Der strafrechtliche des Notstandes* 1878, Buri *Notstand und Notwehr* 1878), nie poddaje autor sądów i zdań różnyh pod pewne kategorie, nie odnosi ich do wspólnego mianownika, ale, trzymając się więcej chronologicznego porządku, przystępuje skrupulatnie najdziwniejsze zdania z przestrzałnych kompendyów, nie opuszczając żadnego mianownika, choćby było tylko powtórzeniem pocięra za panią matką. Skutkiem tej skrupulatności metody niemieckiej, na której się kształcił autor, cytując on całemi kartkami prawników *minorum gentium*, stojących tu z braku perspektywy na równi z pisarzami, wytykającymi nowe tory, zapelnia przypiski balastem tytułów i stronice, powtarza się i miesza w chronologicznym układzie, wreszcie zwałozając jednego prawnika argumentacjami drugiego, obraca się w szarogwanem kole. Ale kiely w tej historycznej części nie miał młody pisarz zapanować nad przedmiotem, to w drugiej, rozwijającej oryginalny pogląd, okazał wiele trafnych myśli i zdrowego sądu. W niniejszem streszczeniu postaramy się o uwydatnienie nowych wyników, do których doszedł autor w swem badaniu.

Wykazawszy w historycznym rozwoju prawa wyższej konieczności oraz to większe uwzględnienie własnego dobra a coraz mniejsze poszanowanie cudzego, uzasadnia to prawo obecnie brakiem pomocy państwa z jednej i znaczenia dobra chronionego z drugiej strony. W zastosowaniu obecnem tego prawa rozróżnia następujące wypadki. Jeżeli człowiek zagrożonem jest „śmiałą egzystencją człowieka” a więc jego życie, wolność i całość cielesna, wówczas ma człowiek prawo utrzymać ją kosztem jakiegokolwiek cudzego dobra, lub naruszeniem jakiegokolwiek prawnego obowiązku. Jeżeli zaś inne dobra (np. własność człowieka) znajdują się w niebezpieczeństwie, wówczas ma on prawo je utrzymać tylko „kosztem” jakościowo lub przy równej jakości ilościowo niższego cudzego mienia. To znaczy: mam prawo paść swego konia na cudzej łące, jeżeli grozi śmierć z głodu albo wycieńczenia, mam prawo zastrzelić cudzego psa, grożącego mi ukłosem — ale nie mam prawa czynnie zniszczyć innej osoby, jeżeli wskutek niewykonywania tego czynu, stracę majątek. Oto parę przykładów: Bankier ma za chwilę zyskać wielkie wypłaty pod groźą bankructwa, pomocnik jego, zostający w kolizyi między utratą własnych stu złotych a utratą kłosa od kasy, „nie ma prawa dla ochrony swych stu złotych poświęcać obcego kłosa — idąc bowiem za tem wstrzymanie wypłat w oznaczonym czasie mogłoby spowodować bankructwo, a więc stratę większą, aniżeli strata po stronie

pomocnika. Bankier natomiast, który znalazłby się w podobnej kolizyi między utratą kłosa od kasy a targnięciem się na sto złotych biednego pomocnika, „ma prawo dla oczenia kłosa poświęcić obco własność, bo strata po jego stronie byłaby większą, acz wartość dobra jest większą po stronie przeciwnika.” Matka, zabijająca z rozpaczy swe dziecko, nie mogąc go wyżywić, nie ma prawa zasłaniać się stanem wyższej konieczności, „albowiem zabójstwo dziecięcia nie ma zdolności usunąć od tego dziecięcia śmierci głodowej.” Kasser, który pod groźą śmierci wydaje zbrodniarzowi klucze od kasy, dozorcy więzienia, który pod tą samą groźą wypuszcza więźnia na wolność — działają zawsze jeszcze w granicach prawa wyższej konieczności, bo prawo od nich nie wymaga, aby w wykonywaniu swych powinności ponosili ofiarę życia. Łeż żołnierz, ratujący się w niebezpieczeństwie życia ciecizką, albo majątek, poświęcający pasażerów dla oczenia własnego życia, „nie mogą się powoływać na prawo wyższej konieczności,” gdyż na nich ciąży obowiązek poświęcenia własnego życia. Nie może się na stan konieczności powoływać ten, kto zabije lub rani przeciwnika w pojedynku, „gdyż sprawozdanie do tego stanu da się to odnieść do winy umyślnie albo do lekomyślności sprawcy,” lecz nie możemy odmówić prawa konieczności ubogiemu, który przez roztworzenie majątku popadł w nędzę i w tym stanie ratując się przed śmiercią z głodu, uczynił samych na obco własność, chociażby przez należąco ogłębłość mógł przewidzieć skutki swej rozręczności. Prawnie postępuje tak samo ten, kto dla uratowania życia obcego człowieka własność osoby trzeciej narusza, jak ojciec, który popelnia zbrodnię dla uratowania życia własnego dziecięcia. Z tego stanowiska jest uprawnione zabicie dziecięcia w łonie matki, gdy życie jej w poroście znajduje się w niebezpieczeństwie, dlatego też poświęca lekarz niepewne jeszcze życie dziecięcia, aby ocalić rozwinięte i samoistne życie matki.

Jak widzimy już z tych kilku przykładów, uzasadnienie p. Ostrożyńskiego zawsze w głąb wątku i jest dobrze obmyślane, chociaż w niektórych więcej zwikłanych kolizjach nie można nazwać rozstrzygnięcia — szczęśliwem.

B.

WYNAŁAZKI.

II.

Jeżeli mamy wierzyć dziennikom amerykańskim, to prasy drukarskiej w niedługim prawdopodobnie czasie przestaną istnieć. Zastąpi je fotografia, której praca byłaby i szybszą i mniej kosztowną. W tym celu dość byłoby otrzymać odbitek negatywów kolumny dziennika zapomocą odcisku światła elektrycznego i utrwalć ją na pasku papierowym, rozwijającą się z taką szybkością, że możnaby pozyskiwać sto odbitek pozytywnych w przeciągu jednej sekundy, czyli 360,000 w jednej godzinie. Potrzeba jednak byłoby dla osiągnięcia tego rezultatu wynaleść papier niesmiernie czuły na wpływ światła, a prztem bardzo tani, które to zadanie nie przedstawia wzrostu wielkich trudności.

Drukowanie gazet za pośrednictwem fotografii nie jest w istocie taką mronką, jakby z pozoru sądzić można. Nie zapominajmy, że przed dziesięcioletni laty nikt nie mógł wątpić, że można utrwalid odbitek fotograficzną w $\frac{1}{100}$ frakeyi sekundy, a je nadal przed piętnastoma laty drukarz, do wadzący, że podejmuje się odbić 20,000 numerów dziennika w ciągu godziny za-

pomocą prasy obrotowej, uchodziłby za szaleńca. Dziś wszakże — taką ilość numerów dziennika odbiór w przeciągu godziny jest rzeczą łatwą.

Podczas panujących obecnie upałów, bardziej niż kiedykolwiek kwestya zstępnego wytwarzania zimna i lodu zajęła może i powinna szeroko publiczności, uczuwać nieraz dotkliwie brak tego niezbędnego produktu, którego zapotrzebowanie wzrasta jednocześnie tak w przemyśle i w gospodarstwie domowym, jak i w wymaganiach higieny.

Z tych względów zamierzamy poznać czytelnika o najnowszym wynalazku, rozwiązującym tę kwestyę w sposób o wiele doskonalszy od wszystkich dotąd znanych systemów. Podajemy tu rezultaty najnowszych doświadczeń Pietet'a, znakomitego profesora fizyki w Genewie, umożliwiających produkcyję lodu za pośrednictwem tak zwanego *plynu Pietet'a*. Plyn ten składa się z dwóch kwasów: węglanego i siarczanego, których nie jest związek, tylko mieszanina; posiada jednak własności związków chemicznych, jakich zwykłe są pozbawione mieszaniny mechaniczne. Własności te wyszczerzymy. Natęśnienie pary przy 20° Cels. wrzającego plynu Pietet'a jest daleko słabsze, niż gdyby to była zwykła mieszanina mechaniczna kwasu węglanego z siarczanym. Na tej to własności, przejawiającej się pomiędzy temperaturą 5° Cels. poniżej zera, a 50° ciepła, przyczem następuje zupełne połączenie się chemiczne ciał zmieszanych, polega zastosowanie plynu Pietet'a do wytwarzania lodu i zimna.

Ponieważ, wskutek niskiej temperatury, ciśnienie pary tego plynu jest bez porównania mniejsze od ciśnienia używanego dotąd amoniaku, tem samem dla swej kondensacyi potrzebuje on daleko mniejszej siły; maszyna zatem, posługująca do wytwarzania lodu sztucznego, działa z wielkim oszczędzeniem węgla.

Oszczędność na tym materiale powiększa się jeszcze bardziej, wskutek, wywiązującego się w wyżej wymienionych temperaturach, silnego przyciągania molekularnego gazów, składających plyn Pietet'a, co zwykle zachodzi jedynie w związkach chemicznych. Z tej też przyczyny, opór przeciw parciu ciśnących gazów wymaga daleko mniejszej mechanicznej pracy, niż przy zastosowaniu wszelkich dotąd znanych sposobów sztucznej produkcyi zimna.

W dotychczasowej fabrykacyi lodu główną część kosztów stanowi opał; łatwo więc zrozumieć, iż nowo wynaleziony środek usara jedną z najważniejszych przeszkód w rozpowszechnieniu tego, tyle pożądanego wytworu.

Plyn Pietet'a posiada zresztą inne jeszcze zalety, z powodu bowiem swej słabości uchyla potrzebę smarowania tłoków, co w tym przemyśle stanowiło dotąd jedną z większych trudności, podnoszących koszt wyrobu. Nadto, pomimo częstego przeprowadzania tego plynu przez maszyny, nie rozkłada się on i nie przeszkodzi w inny stan skupienia; wyłącza też zupełnie obecność wody w tłoku i oszczędza, do którego zupelnienia potrzeba tylu bardzo małej ilości cieczy.

Wartość wynalazku Pietet'a podnosi jeszcze i to, że ulepszył on doskonale konstrukcyję oszczędzając, kondensatorów i tłoków, zwracając głównie uwagę na prosty, łatwy i pewny sposób ich działalności, a niemniej na specjalną użyteczność i zastosowanie pojedynczych przyrządów, co znowu wpływa na znaczne oszczędzenie opału i zimny wody.

Tak racjonalne rozwiązanie kwestyi sztucznej produkcyi lodu ułatwi niezmierznie rozpowszechnienie tego systemu, zmniejszając potrzebną siłę motorną, ilość zimnej wody, cieczy oszczędzając itp. Nadto działające maszyny z biegiem powymy, nieulegające czystem a nieprzewidywanym

uszkodzeniom, umożliwi jej zastosowanie w wielu wypadkach, w jakich dotychczasowe systemy okazały się całkiem niepraktycznymi i bezużytecznymi.

Prócz fabrykacyi lodu, wynalazek Pietet'a ma także na celu sztuczne ochładzanie przestrzeni. Wobec rozwijających się działalności nowego systemu, dziś już twierdzić możemy stanowczo, iż niedługo jest chwila, kiedy w domach prywatnych, w gmachach publicznych, w sklepach i w wszelkiego rodzaju zakładach urządzone będą spyalone stancy sztucznego oszczędzania przestrzeni, połączone z głównym zbiornikiem wytwarzanego chłodu.

Do szybkiego rozpowszechnienia nowego wynalazku przyczynia się wiele i ta okoliczność, że maszyny dawnego systemu, służące do produkcyi lodu, bez wielkiego kosztu mogą być przerabiane na sposób przyrządów Pietet'a. Ścisłe odbywane doświadczenia okazały, że 1 kilogram węgla kamiennego jest wystarczającym do wytworzenia 40 kilogramów lodu, to jest, że produkcyja najlepszych dotychczasowych maszyn w trójnasób powiększona zostanie przy zmianie ich konstrukcyi, na wzór przyrządów Pietet'a.

Znakomity ten wynalazek dotąd przezwyciężony w Niemczech znalazł rozpowszechnienie. Maszyny Pietet'a czynne są już w browarze Grubera w Königshofen pod Strasburgiem w Alzacyi. W Berlinie dwie fabryki lodu Kropff'a przerabiają swe maszyny według nowego systemu, który też zaprowadzają obecnie w jednym z wielkich browarów w Westfalii i w hucie szklanej w Frankfurcie nad Menem.

Na zakończenie zapisujemy, że p. J. Chelmiński w Warszawie wynalazł sposób przeniesienia rysunków na wyroby metalowe, zapomocą galwanizmu. Taniość kosztów tego ozdubiania, w porównaniu z kosztownem grawerowaniem, zapewnia temu wynalazkowi powodzenie. Dotąd metoda roboty trzymaną jest w tajemnicy.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

Plon konkursowy.

I.

(St. Kozłowski Albert wójt krakowski.)

Uwagi godnym jest u nas fakt częstego egzaltowania się ośpałej opinii w stosunku nieproporcjonalnym do powodów. Zwykle martwa, obojętna, dostaje nagle gwałtownych napadów histeryi, w której albo coś potępia, albo wychylała bez miary. Po każdym takim paroksyzmie szybko powraca do obojętności i oeni przedmioty swych złorzeczeń, lub lekceważy przedmioty swej chwały. Prawie zawsze przypadłość rozpoczyna się u niej od głowy — od prasy, za którą idą inne organy. Prasa ta w znacznej swej części skłaniam, martwym okiem patrzy nieraz na najpomysłniejsze objawy naszego życia i w jednej chwili, bez widomej racyi, uszuwa zawrót, wstrząs, się, zapala i nabobnie kłania przed czemś, co bynajmniej nadmiernych uniesień nie naprawdliwia. Jest to dowód niedojrzałości, czy choroby, słabej wiedzy, czy zdernerowania się w dusznym powietrzu — badać tu nie będziemy; zaznaczymy tylko, że owa histeryja objawiła się również przy tegorocznym konkursie dramatycznym.

Jeszcze przed ogłoszeniem wyroku biegły w piśmiech zadyszan wieści, że w plonie konkursowym znalazły się złote kłosey; po rozdaniu nagród znaleziono białe z armat dziennikarskich salwy na urodziny geniusza. Opowiadano, że sędziowie, czytając

Alberta, nie mogli opanować wzruszenia, że przynawszy jego autorowi jednogiennie pierwszą palmę, ze łzami radości rzucili się sobie w objęcia, że takiej chwili nigdy może literatura polska nie miała. „Trzeba było widzieć — pisał pewien sprawozdawca — tych „starych“, którzy na drugi dzień po odczycaniu ogólnem Alberta, z rumieńcem na liach, z iakrzacami oczyma, wbrw sędziowskią dyktreoyi spowiadali się ze swoich wrażeń i mówili o tej tragedyi z takim zapalem młodzieńcym, jak gdyby każdy z nich sam był jej autorem.“ Gdy odeloniego nazwisko tryumfatora, który „położył się niezanym, a wstał znakomitym“ i „przez jedną noc“ zyskał sławę, zaczęto go interviewować, oprowadzać po salonał, wyprowadzać do Kozłowski, „deklałowadno ustępy z jego dramatu prywatnie i publicznie. Wyrzutowano go we wszystkich ilustracyach, wydrukowano jego młodzieńczy wierszyk, nadrukowano na pokaz, ale mający dla narodu urok i wartość milej pamiętki, jako pierwociny autora rozległej chwały, który położył w sobie „Shakespeare'a, Kabanowskiego i Słowackiego.“ Tak nam trzeba było — mówił wspomniany krytyk — teraz właśnie jakiegoś zwycięzcy, któryby dało świadectwo naszej żywotności duszowej, jakiejsi podochoy w przyciębieniu, jakiegoś dowodu, że ten duch, wśród zimnych i nieprzajętych prądów naszej epoki, jak stary gwardziasta w najcięższej walce nie poddaje się, że wspina się przecież jak woda, im ciężej — tem wyżej.“ Ponieważ poza kołom konkursowym i jego przyłączeniami nikt nie znał areydzia, a druk jego opóźniono, przez kilka tygodni więc owe chwały rosły bujną, powstrzymywane załedwie przestrogami, ażeby podniosły harausta zbyt wysoko, nie przaprawiono go o niebezpieczny upadek. Przestrogi te opierały się z jednej strony na widocznych znamionach przesady, drugiej na tym pewniku, że nad kolebką gemusów nigdy nie śpiewa chóor powalny, bo ich jeszcze nie rozumie.

Narozście ukoronowany Albert ukazał się w *Gazecie polskiej* i zbudził równomiernie zachowytm rozczarowanie, a nam przypomniat pewną anegdotę. Żołnierze pulku czwartaków, ustawiający się przed rogatką długim szeregiem w dzień targowy, zapytywali wieśniaczkę, niosącą *geł*, ile chce za swego *zajęga*. Kobieta pierwazemu nie nie odpowiedziała, drugiego ofuknęła, dalszym bronila się coraz słabiej, aż zdurzona ostatniemu sprzedała *geł* za *zajęga*. Z p. Kozłowskim stało się podobnie. Uwierzył on mimowolnym i mimowiednym czwartakom naszej prasy, że przynioś coś innego, niż miałam, tak, że nakoniec, „spowinadając się“ w *Świata* z tego, iż uległ słabości miłosnej, wyrzekł o sobie.

Bo nie sta to mi dana pieśń *tdreca wolańca*,
Abym opiewał tkliwe dźwięki *świętoćca*,
Gdy z krateru mój duszy jakimś mój wyszła
Lawa, a w głębi słychać w nim *piernurcia granie*.
Katakizmy dziejowe i walki obrzydów
I wielkie, nieśmiertelne starca dla ideał,
Mele, co w truchach dąży wie zelazne tbroje,
Śpiewam nam w tekst muzyki nieśmiertelnych rymów,
Świat malować w tragiczną i grodną żalwie:
To są cele i jasne przeznaczenia moje.

Brzmia to podobnie, jak wyrażenie Danta, gdy ten znalazłszy się w pierwszym kręgu piekła, wśród wielkich mówów stęgniętości, rzekł: „Ibyłem szóstym z genuszów chóru.“ My więc dziś, przystępując do rozbióra Alberta, musimy zastosować do niego nie tylko te miare, jaką wyrok konkursowy dlań wyznaczył, ale i te, jaką sam autor w zupełnej zgodzie z podzwłami krytycznych plotek za własną dla siebie przyjął.

Chyba nigdy przed opinia publiczną nie odegrano większej farsy z utworem, który bez niej zyskałby sobie uznanie, bo posiada wartość. Rozpatrzmy napróżd jego treść.

Bogate, zuchwałe, niemieckie mieszczaństwo Krakowa ze swym burmistrzem Albertem na ciele, ukorzywszy się chwilowo przed Łokietkiem, postanawia wyłamać się z pod jego władzy i przyłączyć do cesarstwa niemieckiego. Ale król polski pokonywa zbuntowane grody, a zdobywszy Kraków, mści zaspięskoszczeniemi rzekami, w której bądź samobójstwem, bądź podżądaniem walki giną herosi spisku i ich wójt. Z tą osnową polityczną związaną miłosną: syn Alberta pokochał córkę kasztelana Janka, którą ma wykradł biskup Muskata. Młody Hans, oskarżony przez rączę Dornbucha, spryjającego Łokietkowi, o zdradę, zostaje przez ojca skazany na śmierć, biskup zaś ginie uduszony z rozkazu króla.

Wątek ten, uzupełniony obrazami posiadłości, sądów i narad, przewija się w działaniu obrazach z zupełnem pominięciem prawideł dramatycznych. P. K. wsewa i wysuwa swe postacie, jak i kiedy mu się podoba. Zazwyczaj wazny, miejscowe akcy: „Komnata w grodku krakowskim” wprowadza tam wszystkich, gdy mu są potrzebni. Autor po prostu objaśnia: wyszedł z za „węgla” lub skrył się „za kolumnę” i wioję nie myśli o usprawiedliwieniu wejścia lub wyjścia każdej osoby. Wszystko to nadaje budowę aroyprywatną utworowi, który nie jest ani dramatem, ani tragedją, ale raczej szeregiem luźnych i z poetyką swobodą kreslonych obrazów. Gwałci on netylko wymagania sceniczne, ale nawet logiczno-artystyczne. Na niespodziewanie wszystkie charaktery, mimo pozornie energii słowa, są albo blade, albo nieoznaczone i w rybach zamiennych sprzeczne. Albert, bałwochwalco przez swych towarzyszy oczony, o tyle przedstawia się wyraziście, o ile, wbrew założeniu autora, jest naiwnym samochwałem. Nazywa się „radnym i mądrym” — w chwili największego niebezpieczeństwa każe innym walczyć, a sam się zabija, „starym dębem” człowiekiem „wykutym z granitu i stali.” Podczas szturm Krakowa wazeli do kościoła, aby tam (!) zabić się i usłyszał, jak pewien święty „szepiał do niego kamiennymi usty: jesteś przeklęty, przeklęty, przeklęty.” Pomimo to i chociaż uznaje, że na jego duszę „brzydka rda pada,” konają powiada: „nigdy nie spełnił smrotnego czynu.” Wola: tu zostanie, co że mnie polak rozplata na ćwierci, — w tejsie chwili wyjmuję sztylet i zapominając zupełnie o swem postanowieniu, upewnia, że „by się zabić, dość ma jessze siły.” Rzeczywiście słuszną jest jego następna uwaga, że „może na gorączkę chory.” Bo nawet przed śmiercią, zamierzywszy na rynku odkryć przed ludem swoje „sumienie” i „tajniki swej duszy,” również o tem zapomina i wcale ich nie odkrywa. Jeżeli zaś on nie wie, co ma o sobie trzymać, to inni całkiem gubią się w sprzecznościach. Tak np. Łokietek nazywa go obłudnikiem, a jednocześnie mętem „ślachotnym i prawym;” uważa go zaszczytnym wspomnieniem „znakomitego męża,” zapewnia, że zostanie śladu potęgi tego szalewł. Męcy, tchórz, przeklęty, uosowy, obłudnik, ślachotny, prawy, znakomity, szalewł — szgadajcież, jakim był wójt krakowski?

Łokietek, ciągle grożący i wylewający te groźby deklamacyjnie, natrąca mimowolnym humorem, zwłaszcza że ciągle jest pod ręką autora i w potrzebie zjawia się „za węgla.” Gdy prawi w szerokim stylu o „tajemniczej treści Piasów,” o „kuchach Słowiańszczyzny” (niemcach), o „odwiecznych wrogach narodów sarmackich,” grzeszy tylko niesprawdliwioną w jego osobie i czasie przesadą; ale gdy zabiera się do jakiegokolwiek czynności politycznej, jest władcą operetowym. Z wielkim zamachem postanawia „głęboko zajrzeć do sumienia” Alberta; tymczasem karmi go gorzkimi wyrzutami i sam je od niego zja-

da, a pożągnawszy winowajcę życzliwie, mówi do siebie:

*Goręcych rządów mych troski codzienne,
Zrodziły we mnie jeden przymiot radziki
Uszedł jakżeś święcie (?) i promienie (?)
Jasnowiedzenie kochające matki (?)*

Oczy tu „matki” ustawiono dla „radziki” czy odwrócić, mniejsza, doś, że Łokietek akurat tego „radzkiego” przymiotu w dramacie nie posiada. Biskup wykradł córkę kasztelanowi, którą król poleca wynaleźć wójtowi i taką mu daje wskazówkę:

*Czyje oko pała
Ogнем namlejęmy, a twarz jest zuchwała,
U kogo dusza lubiećsiała usta,
Gdzie gości zbyt i mleska rozpusta,
Tam tyś się udaj, a znajdziesz ofiarę,
Rzecz ci za to.*

Miał prawo Albert odpowiedzieć, że z takim dokładnym adresem winnego szukać nie będzie.

Ów kasztelan Janka prosi „o wględy” dla biskupa, który ma chcił zabić córkę; umierając, przeżył w walce, artykuje z jej „blednicy” i kaze nieopieczoną po straconiu kochanka „robić wdzięczne oczy” do innego młodzieńca, który „wkrótce wyskoczy” Łokietek zaś, przechożąc koło konającego, rzecze do jego towarzyszy: „zostanście, niech z wami gawędzi” — „cięty w lejta.” Niespodziewana Małgosia jest między charakterami postacią narysowaną najnieudolniej. To „lube dziecko” w sporze z przyzwoitą luźno do dramatu przyjaciółką, kochankiem i jego przyjaciół, mówi o „ślubnej łożnicy,” przyznaje się, że dlatego, „zbytnie zapęły hamuje kochanka, aby tem bardziej uszczęśliwić męża,” bo —

*Najlepiej pono dzieje się w miłości
Kiedy mężczyzna potęda i... pości.*

Wysoką znajomość rzeczy tego rodzaju „lube dziecko” zdradza na każdym kroku. Obudziwszy się ze snu w zamknięciu u biskupa, wola:

*Muska tutaj, u mego boku,
Z odęty wargi, z namiętnością w oku.*

Boдай na popiół twa żądza zgorzła.

Nie gromi go mocą swej krzywdy, nie bлага miłośierdza, ale z zapalem dysputuje: „I coś mi możesz dać?” — pyta:

*Zwarzone lice,
Włos siwiejący i martwa źrenice;
Przedmiał miłości nie wzbudziłś błąd (?)
Gdyś nie od swej odwróciłś błąd.*

Wreszcie nawet ostrzega go:

Żony nie znajdziesz, a infule strasz.

Natomiast wobec idącego na śmierć kochanka i umierającego ojca Małgosia nie może się zdobyć na jeden silniejszy wyraz i umie tylko mledle. Zmysłowa danielatka w najtragiczniejszym położeniu nie wyraża na bohaterkę dramatu, nie umie ani silnie kochać, ani nienawidzić, ani gardzić. Gdy traci w jakąś wyższą stronę, dobywa z niej bezsensu. Chce posłużyć niemu, więc pójciej się pyta, po której stronie Hans stanie w walce dwu narodów? Ona odpowiada:

*Wybrałe z toni i jak orzeł biały
Wleci wysoko ponad wojska oba,
Próten wojennej, krwιά zbryzgać chwaly.*

To jest — co zrobi? Autor nie umiał rozwiązać tego węzła, Małgosia nie nauczył i kazał jej wykręcić się „ortem białym.”

Kojarzenie sprzeczności w charakterach jest jedyną konsekwencyą, którą p. K. zachowuje stale. Na początek dramatu biskup ma twarłość krzemienia i upewnia, że „nie ułogie,” „zastygnie jak glaz,” a „śmierć marmurowem powita obliczem,”

skazany na uduszenie draty, modli się, spowiada, o rozgrzeszeniu prosi.

Do jakiego stopnia zaś autor nie posiada elementarnej umiejętności kreslenia charakterów, przekonywa najdowodliwiej główną nicią swego utworu. Między rajcami krakowskimi jest jeden niemiec Dornbuch, który spryja Łokietkowi, przechożnie jego wyślanców, słowem zdradza radoków; otóż ten Dornbuch oskarża przed Albertem jego syna Hansa o zdradę (znasznie mniejsza) i ściągą nań z ust ojca karę śmierci. Nie jest on zaś wcale postępnym lotem, lecz obywałem ślachotnym, który po zapadnięciu wyroku powiada naiwnie:

*Chciałem być jeden rade rzecznik tegi (?),
Lecz co robiće apnelia mla twoga,
Proszę, zwolnijcie mnie z danej przysięgi.*

I „składa swą godność,” oburzony na innych też, co sam wywołał. Jakim sposobem mógł oskarżenie wniesić jedynie w dramacie człowiek, który go wniesić nie powinien, pozostaboli zagadkowym dylematem, gdybyśmy ustawicznie nie spotykali dowodów niepiętności autora, który od najważniejszych do najdrobniejszych rzeczy zapomina o tem, co poprzednio napisał i nawet skazywał Hansa na „śmierć,” pozwala Małgosi widzieć „zabubnicę.”

(D. n.)

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Niewierzy Tomasz wypędzony z Królewca. — Potrzebna statystyka. — Na swolach śmiechach. — Wygnany kapitel i nasza gościnność. — Prykra powinność. — Ogólni pod chmurą. — Nowe szkoły. — Zakład dla dzieł utalentowanych. — Pomysł króla bawarskiego. — Ofiara Norblina. — Skarga rzeców. — Nadykcia rzeczników krzywdy. — Niesplacony dług.

Można mu przebaczyć, bo odpokutował ciężko i wypowiadali się szczerze. Nie wierzył publicznym ostrzeżeniami i jadąc do wód niemieckich, strudzony podróżą i chory, zatrzymał się w Królewcu, chociaż w tem mieście nieśmiertelny Kant pisał o obowiązkach ludzi względem siebie i wygłosił rozumne zdanie, że „kto się staje robakiem, nie powinien oskarżać innych, iż go depczą.” Kapłani sprawiedliwości praktyki, którzy również zapomnieli, że tamże Kant użył o obowiązkach ludzi względem bliźnich, natychmiast ujęli w swoje obęgi śmiałego polaczka i wyrzucili go za granicę — zgodnie z bullą *ausrotten*. Spadłszy na ojezystą ziemię, ukarany niedowiarę udzielił się w pierś listem do jednego z *Kuryerów*, wyznał swą winę i stanął skromnie w szeregu świadków, popierających presteżgi sprawy. Jak widzimy, narody, które umieją przez lata całe nie palić ogar wrogiemu im polochodzie, mieszkają pod innym, niż nasz, stopniem szerokości geograficznej; my zaś posiadamy przedziwny talent własnica oknem tam, skąd nas wyrzucają, drzwiami. Przysiadłaby się to bardzo statystyka, mianowicie: ilu jest takich, którzy nie pojechali do wód niemieckich z obawy, ilu — z powodu zwroćnia ich z drogi, ilu — skutkiem niemożności, a ilu — z odrzuty i poczucia powinności. Tych ostatnich, którzy, mieszkając dawniej we Włoszech lub Węgrzech nie palili cygar austriackich, sążde, zmieściłobyśmy na paradzie podczas przedstawienia cnot obywatelskich w Teatrze Rozmaitości.

Ta cnota ma jessze swoją drugą dobrą stronę, wydatną historjycznie — gościnność. Wszelkiego rodzaju wygnancom

otwieraliśmy drzwi na oścież, dzieląc się z nimi chlebem i dachem. W mniejszej mierze, ale robimy to dotąd. Nie umiem wyrazić radości, jaką uczuwać, widząc u nas śmieć obroty przemysłowców niemieckich wtedy, kiedy ze wszystkich ambon kościoła pruskiego głosi się ewangelia apostoła Hartmana. Proszę czytać np. w *Kuryerze warsz.*: Ja „Franz Schmelzer”, reprezentant firmy Bracia Israel”, dowiaduję się, że „niektórzy z moich konkurentów, chcących nuchodzić za techników, pozwolili sobie rozwiązać tendencyjną pogłoskę i to jeszcze przed kilkoma tygodniami, że wewnątrz urzędów nowo budującego się miły w Tarnogrodzie, w gub. lubelskiej jest zupełnie szuszerowane i to — itd.”. Mniejsza o to, czy ów miły „funkcyjowie doskonałe” i czy kto z ciekawych skorzysta z zaproszenia i obejrzy turbiny patent Hnag, bardziej uderza nas inna okoliczność, mianowicie to, że „Franz Schmelzer” i „Bracia Israel” czują się zupełnie na swoich śmieciach. Kto tak przemawia, nie przypuszcza, żeby mógł być „ausgewiesen”. I słusznie, bo kraj nasz był i jest schronieniem dla przesładowanych. Nie należy zaś przypuszczać, żeby „Bracia Israel”, właściciele miły w Tarnogrodzie, nie byli przynajmniej częściowo przesładowani. Wprawdzie mogą oni mieszkać w Wiedniu, ale nie mogą tam użytkować wszystkich kapitałów. Czy to nie jest ograniczeniem swobody? Zastanawiam się tylko: mamy milion marek i tylko dla połowy jest miejsce na lonie Germanii, druga pozostaje bezczynna, innemu słowy — skazana na wygnanie do innego kraju, gdzie jeszcze pozostało dużo przestrzeni dla obcych kapitałów. Właściwie zatem „Bracia Israel” są „ausgewiesen” z ojczyzny w pewnej części, a Królestwo Polskie jest gościnnym dla nich schronieniem.

Niewątpliwie złożyliś uśmiech jest jedną pociechę bohaterów w tragediach, ale z tą ironią w obecnym wypadku miesza się dzwino i bardzo przykre uczucie. Niemcy nietylko wyganiają nas z własnej ziemi, jak włóczęgów, nietylko wypierają podbojem ekonomicznym, jakie niezdolne do pracy plemie, ale jeszcze doprowadzili nas do tego, że rozum stanu, że patryjotyzm upatrujemy w tem, w czym oni go widzą. Musimy się bronić od Sultanzów i Mallorów, a jednakże z pod pióra wylatuje mi jakiś szpryt ostry, gdy ono kresli słowa nienawiści między narodowej. Jakże dziśnie, jakże zdurzone w oderwaniu od rzeczywistości to wzajemne szcucie się ludzi za to tylko, że z odmiennych wyszli gniazda! Ale cóż ma robić największy humanista, gdy na polu bitwy nieprzyjaciel zaczyna do niego strzelać? Strzela również. Po każdej wszakże uderzone, gdy zostaniemy sam na sam z naszą myślą, gdy rozważymy to konieczności życia, doznajemy głębokiego obrzydzenia. Wstręt nas ogarnia do całej tej walki, w której musimy bodaj w życzeniach wypędzić ludzi obcego rodu, podnosić krzyk na to nawet, że od nas wykupują — raki. A jednak — powtarzam — jest to prawo najpiękniejszego ze światów.

Pod tą ciagle nad istnieniem naszym wiszącą chmurą zapłonęło w zeszłym tygodniu kilka miłych ogników. Nie mówię o uroczystości wianków, lecz o rozmaitych projektach i spełnionych czynach społecznych większej wagi. Zapowiedziano kilka szkół nowych, które jeszcze spoczywały w mgławicy dobrych chęci, ale zdradzają przynajmniej pracę myśli i ofiarności w przytoczonym kierunku. Słychać o szkole chemicznej, a nawet o kilku „specjalnych”. Ktoś znów ma założyć szkołę dla „talentowanych” (od lat 10) a ubogich. Ostatni ten pomysł, o ile jest oryginalny, o tyle niepraktyczny. Naprawdę kto (pomijając wypadki bardzo rzadkie) zdola w 10-letnim dziecku wykryć i oznaczyć talent? Rodzice, którzy będą tu

pierwszymi sędziami, co najmniej w polowie swego błogosławieństwa dopatrują „szczęśliwych uzdolnień”. Znawcy bezstronni znajdują się wobec szeregu wątpliwości, których żadnym środkiem nie usuną. Powtórze, talenty są nietylko rzadkie, ale równo rozróżnione. Przypuszczasz więc, że duch św. wynalazłby wszystkie i sprowadziłby do szkoły, musiałaby ona posiadać odpowiednie, to jest najrozmaitsze oddziały, na utrzymanie których starczyłaby za ledwie kasa bogatego państwa. Zdarzyłby się mogło np., że zakład pewnego roku dostałby na wychowanie i muzyka, i rzemieślnicza, i malarza, 3 poetów, 2 inżynierów, 1 budowniczego itd., których należałoby osobno i starannie kształcić. Gdyby podobną myśl powziął nieboszyk król bawarski — a ona bardzo przypomina jego fantazję — nie wątpliwymby, że przedając później zbraknie mu pieniędzy, a ministerium skarbu odmówi dalszych zasiłków. Cóż dopiero mówić o prywatnym marzycielu warszawskim, który nie posiada ani paru milionów listy cywilnej, ani królestwa bawarskiego. Pobawiwszy się więc podeszła letniej nudy tem cackiem z dżurk, oddałoby jej zapewne na bok. Co innego szkoła techniczna, która pogłodzi nazywają chemiczną, a która już dawno pokutuje w naszych nieopieczonych marzeniach. Ta byłaby potrzebna i wykonalna. Po każdej o niej wzmiance natychmiast mnóstwo wyekskucyjnych tego zdania dopytuje się, kiedy i gdzie on spadnie. Upierzdamy więc, że jest to dotąd nieodpieciętowana publicznie tajemnica, złożona w jednym czy kilku dziennikach warszawskich. Nie mamy nawet pewności, że nie ukrywa się pod nią wkrzeszona dawna mara, która corocznie błąka się po pismach i znika.

P. Norblin (właściciel fabryki wyrobów platerowanych) przeznaczył 50,000 rs. na zapomogi i emeryturę dla robotników swego zakładu, który przeszedł lat 25. Jest to druga już taka ofiara (pierwsza Slenkiera), która obok ujawnienia dobrej woli dowodzi wpływu pewnych świeżych prądów na uczucia kapitału. Broni on się w swych prawach i przywilejach, ale od czasu do czasu mimowolnie stwierdza, że jest, jeśli nie pokonywaniem, to przekonaniem. Dotąd robi ustępstwa i zdobywa się na poświęcenia w zakresie — że tak powiemy — rośdinnym, dobrowolnie oddawany wa koła najbliższe ręki ofiaracielce, ale taką kolej wyrównywania się położeń uważał należy za naturalną i pewniejszą od nagłych przeskoków. Bodaj śladem Slenkiera a za Norblinem poszli wszyscy, którym to drogę obowiązek wskazuje.

Kto też pierwszy uczucie miłosierdzia nad biednymi pracownikami, pomijamy w wszystkich wywodach filantropijnych a zastępowajmy na wagłęj najmniej od innych — nad szuszami? Są oni najbezkarniej krzywdzeni i to właśnie przez tych, którzy z urzędu są właścicielami samowoli i wyszuku — przez literatów. Jeden z tych białych murzynów skrzył się w *Gazecie polskiej*, a każdy wyraz tej skargi drażni smutną prawdę. Pomijam to, że zarobek szuszki nie podnosi się w stosunku odpowiednim wzrostowi innych (np. fabrycznych), ale warto poznać, co z ciężką, rujnującą zdrowie pracą, robi pierwszy lepszy reporter. Do drukarni idą rękopisy z gruba nieociesniane i nieczytelne, które kradną czas, zamarnowany na odgadywanie zysków i poprawianie omyłek, ludziom, wynagradzanym nie dziennie, lecz od wykonanej pracy. Pomyślnie tylko, co czy szeker ma zarobić rubla, czy 50 kop, czy skłonozy zajęcie po południu, czy nad ranem, wszystko to zależy od kaprysu władcy i niewyrażnie, terminowo i niecierminowo piszący. Zamiast szybko składać oczekiwki, nie raz musi ślepić po kilka minut nad hieroglifem, wzywając pomocy towarzyszyków, przestawiając w korektce luble wiersze, łamąc inaczej całe strony lub

czekać z założeniami rękami przez całe godziny na rękopis, opóźniony wyjadem autora na podwieczorek do Marcelina. Gdyby czytelnik, nieznający kuchni wydawniczej, zszedł do niej, gdyby widział fantastyczne swem niedbalstwem gryzmołenia i korekty, w których na marginesie przonaczony bywa tekst z gruntu, gdyby sobie przypomniał, że układanie metalowych oczekiwki nie idzie tak prosto, jak posuwanie piórem, ujrzałby dopiero we właściwym świetle pracę szuszki. A nadawcyca to dzieją się w wielkim rozmiarze, co dziennie, bez wyrzutów sumienia, bez nagi, bez przeć winowajcy musieliby być oskarżycielami. Do jakiego stopnia wkożeniła się w zwyczaj i w nalogi ta awawola, dość powiedzieć, że przed kilku laty ktoś napisał do jednego z dziennikarzy artykuł w obronie szuszów, który zwrócił autorowi, gdyż był zbyt... nieczytelnym.

Propria laus sordet. Ogólnie więc tylko powiemy, że robimy wszystko, co jest możliwe, żeby tymi grzechami sumienia swego nie obciążać. Grzechy to powinny być z jednej strony mniej być lekceważone, z drugiej — pobudzić do naprawy ich wzięciem. Co literaci warszawscy zrobili dla szuszów? Nic. Ani razu nie przedsięwzięli dla nich żadnego wydawnictwa, żadną pomocą nie zasilił ich kasy. Czyby nie było uczciwym i szlachetnym, żeby corocznie w pewnej oznaczonej porze zbiorowem siłami podejmowali na ich korzyść jakąś księżkę?..

Przeпадnij szuszowe słowo w głuchych uszach, jak przeпадło tyle innych.

Posłł Prawdy.

NA WIDNOREGU.

Nasza cywilizacja i jej pionierowie — nauczyciele wielkiej. — Ofcyaliści. — Dobrowolne umowy... pod gróbką procesu. — Obawy żydów. — Niemcy na Woli.

Nie mówię już o pretensjach do tytułu ludu wybranego, zgodnie uważamy siebie wszyscy za mniej lub więcej, ale zawsze cywilizowany naród. Wszakże każdy z nas pamięta i innym przypomina, że cywilizacji europejskiej broniliśmy niegdyś pierściami a dziś stanowimy wysunięty jej posterunek. Mówi się tak w tej lub innej, w śmiechu lub w oględnej formie, czasem szczerze nie mówi się wcale, lecz milczeniem lub półmówkami daje do zrozumienia. Potrzeba więc przejrzać uważnie to dokumenty, na których opieramy obronę praw swoich, żeby nie narazić się na przegraną w procesie. Niwa nasza umysłowa, obświecana ziarnem lochem, wydaje nędzne plony i jałowicie z dniem każdym. Sądząc z tego, co czyta i co pisze t. z. inteligencja, powiedzić można, że w ogólnym pochodzie cywilizacyjnym zajmuje ona ostatnie szereg. Ale nie o nią idzie mi w danym razie lecz o masę ludową, które wyprzedzają już nietylko zachodni sąsiedzi.

Sprawozdania o pobjęcie wojska z lat ostatnich wykazują, że procent piśmiennych rekrutów mniej więcej był w Królestwie, niż gdziekolwiek w państwie rosyjskiem i w dodatku różnica jest dosyć znaczna. Tylko w azjatyckich prowincjach Rosji procent jest nieco mniejszy, ale na pewno powiedzić można, że za lat kilka Syberja i Turkestan dopędzą nas i przegadają. W czym to więc wyrusza się cywilizacja nasza, jeżeli warstwy inteligentnej, przez grzeszność chyba mogła być tak nazywana, jeżeli lud jest ciemny i oprócz tego około 20% ludności (żydzi i niemcy) nie zna wcale lub niezupełnie wycią domowym

języka krajowego? To pokolenie, które teraz odbywa służbę wojkową, daje przeciw większy procent piśmiennych, aniżeli starsze; przeszło już obojwem w pewnej części przez szkołę. Wprawdzie uczele ludowych nie mamy zbyt wiele, ale istniejących ich liczba pozwala na to, żeby przynajmniej połowa ludności w wieku szkolnym uczyla się czytać i pisać. Nie sam więc tylko brak ognisk jest przyczyną ciemnoty ludu; oświata nie rozpowszechnia się dla tego głównie, że nikt niebda o nią, że szkoły uposażone są niezmierznie lichę, prowadzone w znacznej części niedbale. Inaczej zaś być nie może, jeżeli społeczeństwo sprawę tego spycha na szary koniec, nie popiera jej ani moralnie, ani pieniężnie. *Gazeta świętochowska* zabiera właśnie głos w przedmiocie nauczycieli wiejskich. Autor pokazuje nam, w jakich warunkach ci „przewodnicy” ludu żyją i działają. Większość ich nie odpowiada swemu zadaniu, są często, „przemyślenie z dalszych stron, których nie obchodzi sprawy ludności okolicznej,” inni zwoln uważają siebie za „misjonarzy, posłanych dla oświecenia ciemnego tłumu.” „Mają zupełnie odmienne przekonania, uocenia, przymyślenia, niekiedy tego, czego, go to otacza, taki nauczyciel zasnawa ziarna nienawidzi do siebie w sercach ludności wiejskiej.” „Inni jeszcze, nieprzyswajając do życia na wsi, nie lubią go i nie rozumieją i, niezgodni są nie widzieć po za swym nosem i swą szkołą.” „Nie wiecie dziwnego, że na nauczycieli lud zwykle patrzy, jak na wrogów swoich lub na nieprzyjaciół nieuczciwych. Inaczej być nie może, między właścicielami bowiem imnionym „przewodnikiem” jego nie wspólnego nie ma. Chłop zresztą nie będzie chciałwie patrzeć na człowieka, który przez większą część roku, zwłaszcza zaś w czasie ciężkich robót letnich, siedzi bezczynnie, bo wtedy właśnie dzieci do szkoły nie chodzą. W warunkach takich najlepszy nauczyciel nie pozyska wpływu na gromadę, która zawsze uważa go będzie za obcego. Potrzeba więc nauczycielowi ułatwić zbliżenie do ludu, zespolić go z masą włościańską. W tym celu potrzebne byłoby bardzo, żeby posady nauczycielskie zajmowały ładnie urodzoni i wychowani na wsi, w tej samej okolicy, gdzie później pracować będą, nie tak jak dziś, kiedy litwin często jest nauczycielem w lubelskim, mazur w krakowskim itp. Społeczenie tego warunku nie zawsze okaże się możliwym, ale od dobrej woli mieszkańców gminy lub wsi zależy nadanie nauczycielowi kawałka gruntu, na którym zająć by się mógł na pracę rolną. Wspólne zajęcia najlepiej zbliża ludzi i takiego nauczyciela-rolnika chłop nie będzie uważał za „obcego przybłądę.” Wtedy i sprawy szkolne, które dla niego nie obchodziły prawie wiośniaków, zainteresują ich żywiej, i wytworzy się łączność pewna pomiędzy gromadą a nauczycielem, z czego obie strony skorzystają tylko mogą. Jest to pewnością sposób, aniżeli powiększanie pensyi, które, wobec biedy naszego ludu, często jest niemożliwym. Zresztą nauczyciel, jak wspomnieliśmy wyżej, przez większą część roku nie ma żadnego zajęcia i to właśnie w porze największej pracy dla ogrodu i gospodarstwa rolnego; łatwo więc połączyć może spójniale swe zadanie z pracą około ziemi.

Pozostaje do rozwiązania jedna trudność — skąd wziąć gruntu dla nauczyciela, kiedy gromada ma go zwykle za mało? Gdyby rzeczywiście „dwór” dbał tak o oświatę „chaty,” jak to czytamy nieraz w piśmie zachowawczych, trudność ta nie istniała by wcale. Wydzielenie kilku morgów z obszaru dworskiego, nie na własność, ale na użytkowanie bezpłatne, nie przedstawiałoby w większości wypadków żadnych przeszkód. nie mówiąc już o tem, że w niektórych majątkach znajdują się takie oderwane od całości, lub

wsunięte między niwy włościańskie kawałki ziemi, które bądź to marznąją się bezużytecznie, bądź też wypuszczają się w dzierżawę za drobną kwotę. Ale wyjątkowo chyba spodziewać się można tego rodzaju ofiary, szkoła wiejska nie cieszy się sympatją dworu. Przeciw większości jej budynków — to nędzne chatki na kurzych łapkach, walące się ze starości, brudne i ciasne bo chłopi nie mają drzewa na wystawienie nowych a dwór nie ofiaruje im na ten cel budulec.

Czyż zresztą nauczyciel chłopski może spodziewać się współczucia od pańów, z którymi nie go nie wiąże, jeżeli nawet ludzie, z którymi wspólnie interesy łączący powinien właścicieli ziemskich, nie znajdują skusznie należnej im pomocy. Mówię tu o oficyalistach gospodarskich, od lat kilkunastu wyglądających z upragnieniem kasy emerytalnej. Panowie od czasu do czasu przypominają sobie o tym obowiązku, pogadają przez kilka godzin, wyrażają swe dobre chęci w formie projektu, zaraz po napisaniu złotonego do akt i zapomną na lat kilka, aż do nowego powtórzenia tej samej zabawki. Teraz dopiero, podobno wystawy rostrzygnięto sprawę ostatecznie, a mianowicie zalecono oficyalistom, żeby ubezpieczali się w istniejących towarzystwach assekuracyjnych. Dobra rada zawsze coś warta, zapewne więc ekonomowie i pisarze uczają za nie pokornie rączki pańskie i zalecenia nie wypełnia, ponieważ nie są w stanie tego uczynić. Z maledich swoich pensyjk nie mogą oni przecie płacić składek, które względnie muszą być dosyć wysokie, gdyż pp. obywateli nie biorą na siebie płacenia pobowy wniosków, jako to się dzieje np. w niektórych instytucjach wzajemnej pomocy przy fabrykach.

Zresztą towarzystwa ubezpieczeń odstraszają mogą tylko ludzi cichych i spokojnych. Instytucje te w dalsze ubezpieczeń od ognia dojdą wkrótce do tego, że ubezpieczając się w nich będą chyba tylko ostatniego gatunku, człowiek zaś porządny wybierze raczej przypuszczalną stratę wskutek pożaru, aniżeli ciągle szkany i perspektywy procesu o podpalenie. Kilkoroście podnoszono już zarzut, że towarzystwa grożą procesy wymuszają od ubezpieczonych pewne następstwa z normy wynagrodzenia. Już samo dopuszczenie układowo-dobrowolnych złe mówi o tym stosunku; — jako pożar był skutkiem podpalenia — i wtedy instytucja wolną jest od płacenia umówionej sumy, albo też wynikł z innych przyczyn — i wtedy płacić należy ściśle tyle, ile wypadła. Straszanie procesem i dobrowolne układy są po prostu oszustwem, które winno być przez prawo karane. Że w większej części wypadków procesy wytaczane są bez żadnych powodów, świadczą ta okoliczność, iż są zwykle nieuwiniani oskarżonych. Towarzystwa zresztą nie skartą nigdy prawie tych malomiaszczkowych oszustów, którzy z podpaleniami zrobili sobie zyskowe zajęcia, ale ciągną przed kratki ludzi samotnych, zajmujących pewne stanowisko towarzyskie, t. j. takich właśnie, jaży z obawy skandalu najłatwiej zgadzają się na następstwa. Poprzednio zaznaczyliśmy w tej rubryce kilka takich wypadków, teraz mamy nowy dowód bezczelnej skargi. Sądz kolekcji uwinolił od odpowiedzialności obywatela ziemskiego p. R. człowieka samotnego i szanowanego, oskarżonego o podpalenie budynków, które, jak się okazało, nie były bynajmniej oszacowane wyżej wartości. Adwokat Towarzystwa ubezpieczeń w dainy sposób dowodził winy oskarżonego: „P. R. — mówił on — cieszył się powszechną sympatją, służba była dlań przywiązana, chłopi kochali go — nikt więc nie mógł podpalić budynków, tylko on sam.” Pierwszy to chyba przykład w kronice sądownej, żeby przynioły oskarżonego i dobra opinia, jaką się cieszył, mogły stać się

dowodem jego winy. O logiko adwokacka, jakimi ty manowcami chodzisz!

Dobrze serea w dzisiejszych czasach nieraz narazić może człowieka na niebezpieczeństwo. Wiedzą o tem żydzi, którzy wszelkiego rodzaju doświadczeni w długim życiu swoim przechodzili i odrzucają instynktownie, co im grozić może. Jakich obywateli ziemskich opowiada w *Gazecie lubelskiej*, że jadąc do miasta spotkali na drodze dwoje starych żydów, stojących około biednie ubranego dziecka. Starozakonna para zasnęła wolała na przejeżdżającego, żeby się zatrzymał. Okazało się, że spotkali oni na drodze zapłakanego dziecko, które widocznie ktoś porzucił i bali się ruszyć z miejsca, aby ich nie posądzono o zasnę o przywłaszczenie małego chrześcijanina. Obywatel musiał wydać żydom kartkę, świadczącą, że zawiadomili go oni o zaśnieżeniu podrutka, poczem dopiero uspokojeni udali się w drogę do najbliższej gminy, dla wręczenia komu należy niebezpiecznego przedmiotu. I okazuje się, że ci ostrożni ludzie mieli rację, bo oto w Dohnowie, w powiecie wilejskim przed kilku tygodniami żydzi pobici zostali przez ludność chrześcijańską z takiego powodu. Podobasz jarmarku włościańowi Krasowczanowi zginął syn, dwunastoletni chłopiec, którego widziano wchodzącego do sklepu żydowskiego. W parę dni potem znaleziono w drodze trupa dziecka, a podrażnionem gardłem, ale w czystej koszuli. Śledztwo nie wykryło zbrodniarską, chłopci jednak twierdził, że zabójcami są żydzi, którzy zamordowali chłopca dla celów religijnych. W dzień Bożego Ciała zebrane na odpust w miasteczku tłumy ludzi rzuciły się na żydów, bijąc i zasnęając ich mienie. W parę godzin wszystkie sklepy zostały złupione. W krwawej walce kilka osób poniosło śmierć, rannych zaś liczą przeszło dwudziestu. Na drugi dzień przybyło do miasteczka wojsko i wtedy dopiero zaburzenia ustały.

Jeżeli żydzi lękają się i słusznie chłopów, to i pogromcy ich boją się także niektórych swych sąsiadów. W okolicach Żytomierza rozszalała się między chłopami pogłoska, że niemiecy-kolonisi chcą ich wyrzucić, że władza odkryła składowość itd. Chłopi jednak postanowili bronić się i napadł odeprzeć, kto wie nawet, czy nie przejdą w stan zaczepny. Stożnik bowiem między ludnością miejscową i przybyszami są bardzo naprężona. Włościanie, krzywdzeni przez niemców, maszą się na nich przy każdej sposobności, przechwalając się nawet, „że my dla nich miłosierdzia nie mamy.”

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr warszawski otrzymał na nowo, utracony przed trzema laty, zasilek z funduszów rządowych.

Minister sprawiedliwości polecił, aby wszyscy pisarze i protokolisci pochodzenia żydowskiego, pracujący w kancelarych sądów ślowskiego, zostali w ciągu dwóch miesięcy usunęli z zajmowanych posad.

Przeżytki pism. Nowe rozporządzenie, dotyczące przysyłki pocztą pism, ustanawia takie, opartą usterki na wysokości ceny, ale również na ilości numerów i ich wadze: przepis ten najcięższym jest dla pism codziennych. Apłata pocztowa winna być wnoszona z góry i tylko stosownie do uznania naczelnika zarządu poczt i telegrafów rozłożona być może na raty kwartalne. Dla pism rosyjskich, które wyłącznie prawie poblerają prenumeratę za rok cały z góry, przepis ten nie ma wielkiego znaczenia, u nas jednak, gdyby nie uległ pewnym zmianom, odbiłby się bardzo niekorzystnie na budżecie wydawnictw.

Obliczenie większej własności ziemskiej w Galicyi, zajmującej przestrzeń około 5,300,000 morgów, wzra-

| | | |
|-----------------------|---|------------------------|
| Wielki medal srebrny. | LAKIERY I FARBY | Całki franc. i gratic. |
| | połączają | |
| | ZAKŁADY PRZEMYSŁO-CHIMICZNE | |
| | W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT w Warszawie, Elektoralna 37. | |

15—24

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studjum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Cena kop. 60.

Istniejący od lat stu trzynastu DZIENNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNO-LITERACKI „GAZETA WARSZAWSKA“

z dodatkowem pismem tygodniowem p. t.:

„Korespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy.“

Wychodzi codziennie oprócz świąt, niedziel i dni galowych.

Treść pisma:

Artykuły wstępne poświęcone sprawom krajowym i zagranicznym. — Telegramy: własne, Agencji p. Rudolfa Okręta i Agencji Północnej. — Artykuły luźne z dziedziny objawów życia społecznego, ekonomicznego rozwoju kraju, rolnictwa itp. — Korespondencye z różnych stron Królestwa Polskiego i Cesarstwa, korespondencye zagraniczne stałe z Krakowa, Lwowa, Galicji, Pragi, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu itp. — Felieton poświęcony sprawom teatru, muzyce, sprawozdaniom ze sztuk pięknych. — Kroniki miesięczne z Paryża i Wiednia. — Sprawozdania z ruchu książkowego i literackiego w kraju i za granicą. — W felietonie powieści i nowele oryginalne i tłumaczone. — Kronika sądowa. — Sprawozdania z ruchu handlowego i przemysłowego. — Ceny zboża i produktów rolniczych na rozmaitych rynkach Cesarstwa i Królestwa.

W ciągu półroczia II r. b. będą drukowane powieści: **RODZINA BARTÓW** przez autor-
kę *Opowieści*, oraz *Ci! TAMCI!*, rzecz na te węgierskie, przez T. T. Jożę.

Prenumerata wynosi:

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie rocznie rub. 12, półrocznie 6. kwartalnie rub. 3.
W Warszawie rocznie rub. 9, półrocznie rub. 4 k. 50, kwartalnie rub. 2 k. 25, miesięcznie kop. 75.

KANTOR REDAKCYI: ulica Długa Nr 42 (dawniej 32).

(Nawprost Hotelu Polskiego.)

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Władysław, *Owech, to Cumania*, Genewa, Champel—Zagroda.

P. S. S. w *Amst.* W zasadzie zgoda, prosimy jednak o przysłanie każdego artykułu, który nam pozwoliłby przemielić się szeregolówce.

P. Jan, w *Albert*. Słowa wyrażają obcych z przesyłką kosztuje.

Drogi B. Ambros, Bobrzyńskiego — naturalnie dla dorosłych — w każdej księgarni.

Karolowi K. Gramatyka Małckiego, *Historia Bobrzyńskiego*, *Historia II. Kulickowskiego*, co do geografii krajowej specjalnych prac nowych nie ma, w niektórych wskazówkach podrozdziałach ogólnych części ta obszerniej jest traktowana.

P. C. H. Hist. Bobrzyńskiego, Geografia powszechna — Guého, nie wydłama przed 10—12 laty.

P. Edo, w *W.* Kobietę kształcił się na uniwersytecie nietyko w Szwajcarii, lecz także we Francji i Belgii. Szczęśliwych objasnień dostarczyć mogła tylko jedna ze studentek.